

wyborcza.pl

JUTRONAUCEI-2020

PIĄTEK 20 LISTOPADA 2020

FOT. IGORMORSKI

PARTNER STRATEGICZNY



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK



ILEĆ, JASKÓŁKO

Osoby z wizją całościową mnie przerażają. Zaczalbym od zapewnienia takim osobom spokoju i niezbędnej pomocy. Na wszelki wypadek

I.

Opowiadamy sobie i świat. Od drobnych ozdób i małowidel naskalnych z paleolitu, przez wielkie kosmogonie starożytnych cywilizacji, po stenotypistykę czy szyfr genomu. Opowiadamy, jak potrafimy. Często nie podoba nam się świat ani my sami w nim, do bani. A jednak szeleścimy opowieściami. Nie podalibyśmy, o! na przykład tamtemu bliźniemu w kłapkach, hasła do wi-fi, bliźni przejawia deficytu w IQ i outficie, z kolei po naszej stronie braku życzliwości. Mimo to jesteśmy złączeni, włączeni w antologię opowiadanych i opowiadających.

Pierwsze lata życia spędziłem na wsi. Mama czytała mi po pracy bajki. Dobre zakończenia nie robiły wrażenia. Zwały się w niewyraźną tacę z odświeżonymi słodyczkami. Prawdopodobnie zmęczenie matki po ciężkim dniu kładło się na happy endy. Z drożdżówki powstawał naleśnik. Szczęśliwe zakończenia to coś, co zdarzało się przed snem, jak mycie zębów.

Zapamiętałem jaskółkę z „Calineczki”. Leżała na oko martwa, cała i niepopsuta, z dziobem i piórkami, pochowana w krecim korytarzu, sztywna niby tuszka z zamrażarki. Nieraz znajdowałem podmarznięte zwierzęta, drobiazgi: ptaszki, gryzonie, z rzadka zaskrońce. Moje „mrożonki” nigdy nie ożywały i nigdy nie zapraszały na wakacje hen gdzie indziej. Dziadek zniknął truchła sprzed oczu domowników w ogniu pod parnikiem. Żeby się nie spaskudziły.

Jaskółka z bajki przetrwała mrok zimy, wiosną wydoszła się i wleciała w ciepłe słońce.

Bardzo chciałem, żeby mama tak sobie zrobiła. Dla odpoczynku, najlepiej w Dzień Matki.

Moje mamy (prawdziwa i te opowiadane) nigdy nie odrywały się od ziemi. Żadne z nich jaskółki, prędzej coś z nietotów.

Najwięcej czasu spędzałem z babcią. Nie czytała mi bajek. Nie umiała czytać ani pisać. Powiedziała kiedyś, sama z siebie, niepytana, że dla niej wystarczające do życia są cyfry. Kiedy potrzebuje liter, idzie po sąsiedzku do kulawego Wiktora. Rzadko, na karteczce zapisywał imiona bliskich zmarłych, za których się batuszce płaci, żeby pomodlili i nie pomylił z niewłaściwymi, nieopłaconymi zmarłymi. Po to są litery, do cerkwi dla nieżywych.

– W szkole pokażą i tak – stwierdziłem. – Naucz się czytać! I może pisać. Nie będziesz chodzić do kulawego Wiktora.

– Naucz się – odpowiadała. – I ty potęsknisz do teraz, kiedy nienauzony jesteś, wnuczek kochany.

Niezbym wierzyłem w babcine przewidywania. Nie sprawdziły się wypadki i choroby, którymi babcia obdziałała rodzinę i zwierzęta w gospodarstwie. Ciekawe, że obcych nie tykała. Wychodziło, że nam życzyła mniej zdrowia i więcej wrażeń.

Babcia nie czytała bajek. Nie opowiadała bajek. Nie znała żadnych. W końcu jej nie czytano i nie opowiadano.

Opowiadała akapity, obrazki.

Historyjki nie rozwijały się, bohaterowie nie dojrzewali, intrygi brakowało, właściwie nie musiało się to wydarzać, o ile oczywiście wydarzyło. I koniec nie wypadł szczęśliwy, nie zawsze nieszczęśliwy. Był po prostu obecny i nieusuwalny.

Matczyne historie rozbudzały docieklivość i podejrzliwość, babcine natomiast – krótkie i proste – w ogóle nie.

Babcia mówiła, jakby widziała na własne oczy.

O złych urokach rzucanych na ludzi i zwierzęta. (Szczególnie podatne wydawały się krowy oraz narzeczony).

O ognikach i śpiewach gubiących na bagnach.

O resztkach złych ludzi, wcielonych w ciała wielkich nietoperzy. Wlatywały do obory i zaplatały grzywy koniom w przekłete warkoczce, od których konie wariowały.

O umarlakach przez niewierne żony uwięzionych w lustrach.

O prababci, która słygnęła z obszernej sukni i zwyczajnie sikania w miejscu stania. Zatrzymywała się bowiem przed oddaniem moczu. W tamtej epoce i w tamtej warstwie społecznej bielizna okazywała się kłopotliwa.

O ciotce – urodziła się nie w czas i nie taka – co zima zamykanej w stodole. Żywiła się słomą i gryzoniami. I bardzo nie chciała umierać. W końcu trzeba było dobić. Pochowana bez popa przy rzece.

– Gorzej od zwierzyny – babcia kończyła. Myślałem, że oceniała smutny los ciotki. Teraz myślę, że chodziło o wszystkich tamtych przeszłych bliskich.

O dziadku, który należał do oddziału chroniącego generała Świerczewskiego. Walczyli z bandami po lasach. Dziadek zdezerterował z ochrony i wrócił na wieś. Jego siostrę pokochał sąsiad bez wzajemności.

Sąsiad zaproponował dziewczynie wybór: albo wyjdzie za niego, albo on ją zastrzeli. Wybrała drugie. I dziadek zdezerterował właśnie na wieś o tym wyborze. Na wieś przybył w poszarpanym mundurze i od razu udał się do sąsiada z pistoletem. Nie zamierzał sąsiadowi dawać żadnego wyboru. Rozpalała go wściekłość i zemsta, nie matrymonium. Babcia się ukazała w scenie z prehistorii:

– Ona nie żyje – przemawiała do dziadka. – Ty drugie zabijesz i ciebie do więzienia zatłukają. Gdzie sens?

Babcia urywała.

Moja obecność dowodziła, że dziadek babcie posłuchał.

Babcia opowiadała. O złych urokach. O ognikach gubiących na bagnach. O cioci – urodziła się nie w czas i nie taka – co zima zamykanej w stodole. Żywiła się słomą i gryzoniami. I bardzo nie chciała umierać. W końcu trzeba było dobić

Z drugiej strony podsłuchałem rodziców powątpiewających głęboko i niecicho w sens wiązania się na całe życie. Debaty regularnie powracały. Ojciec wolałby się związać z fajnym autem, matka ze świętym spokojem. Skończyli ze mną.

Pytanie babcie skądinąd pozostaje w wiecznotrwałej mocy.

Gdzie sens?

Głęboki rozdźwięk między matczynymi a babcinymi opowieściami niósł ze sobą pewne konsekwencje. Innymi słowy, w podświadomości żywiłem przekonanie, że można zjeść ciastko i nie zjeść ciastka niczym w paradoksie Schrödingera – kwantowy kot jest równocześnie żywy i martwy. Kot ten na zawsze złączył się z moją tłumaczką, cierpiącą na lekką parafazję. Kiedyś przełożyła w moim tekście kota Schrödingera na kota Schrödera. Nie protestowałem, też ładnie.

Jasne, że jako berbec w wiejskim domu nie miałem pojęcia o różnicach, raczej stwarzałem wielki zbiór wspólny albo wielki wór, w którym zmiesza się wszystko i nic nie będzie odrzutem z eksportu (za PRL-u istniała taka kategoria produktów, bardzo zresztą pożądaną).

Próbowałem opowiedzieć przyjacielowi (z inteligentnego domu) o tym formacyjnym w sumie wchłanianiu narracji niepiśmiennej oraz zapisanej, lecz przerwał:

– My wierzymy w kapitał kulturowy. A wy ze wsi?

– Cóż – odparłem. – My wierzymy w susze i powodzie.

Przyjmijmy w uproszczeniu i generalizacji:

Każda opowieść wychyla się na przyszłość.

Każdy człowiek zdaje sobie sprawę z upływu czasu.

I wyciągnijmy nie do końca uprawniony wniosek:

Opowiadanie to stwarzanie ram przyszłości.

Na marginesie:

Po napisaniu powyższego poczułem się jak „Alchemik”, depozytariusz Tego Jak Jest Naprawdę, choć bez gigolo bródki i niestety honorariów. Tak czy siak pierwszy krok ku pustej sytości uczyniłem. Niech mama nie zarzuca, że nie próbowałem. Babcia wiedziała, że życie wyjdzie albo nie wyjdzie, bez większej różnicy, co najwyżej będzie pogrzeb na bogato.

Obie miałycie rację.

2.

Prekognicja kusi od zawsze. Zanim powstał gatunek science fiction, w powieściach występowały osoby, które w obecnych czasach poddałybyśmy hospitalizacji. Również sięgając głębiej, do mitów, do Ka-

sandry i jej mentorkę Mojr, nie odnajdziemy tam zdrowia psychicznego. Tak jakby patrzenie w przyszłość wybrzuszało i rozsadzało teraźniejszość.

Zagładanie za zasłonę czasu szkodziło. Pół biedy, gdy było instytucjonalnie usankcjonowane jak w przypadku oficjalnych wyroczni. Podlegały ochronie, wieszczły mętnie, trudno szło posądzić o błąd w przyszłości. Gorzej, gdy spadało na kogoś zwykłego. Wiejscy odchyleńcy nie mogli liczyć na głębsze zrozumienie.

Na marginesie: ciekaw jestem, jak wielorybia społeczność traktowała pewnego przedstawiciela swego gatunku, który zakochał się w amerykańskiej atomowej łodzi podwodnej. Sygnatura

akustyczna okrętu musiała uwodzić niczym syrenia pieśń.

Przyszłość w rękach terażniejszych to potężna broń. Podobnie przeszłość.

Weźmy Heroda. Nowy Testament przypisuje mu „rzeź niewiniątek”. Do takiego zdarzenia nie doszło. Herod – sprawny zarządca (obniżył podatki) i budowniczy (wzniósł Świątynię Jerozolimską z ociałą słynną Ścianą Płaczu) – nie zdecydowałby się na tak szaloną i de facto niemożliwą do przeprowadzenia decyzję. On po prostu – niczym inni władcy bliskowschodni – wykazywał się daleko posuniętą podejrzliwością. Słusznie zresztą: poddani nienawidzili go za uległość wobec Rzymu. Po jego śmierci, dopowiedzmy, wybuchło powstanie antyrzymskie zakończone wygnaniem Żydów. Gdyby kurs polityczny Heroda kontynuowano, do wygnania by nie doszło. Nie wtedy przynajmniej.

Wracając do Heroda i jego podejrzliwości: owszem, miał na sumieniu małą rzeź, powiedzielibyśmy: w skali narodu prywatną. Zabił ukochaną żonę, trzech synów i kilkoro członków rodziny z wysokim potencjałem spiskowym.

Czas pokazał, że jego podejrzliwość była uzasadniona, acz niekoniecznie właściwie ukierunkowana. Bo po pierwsze, obciążono go próbą zgładzenia Jezusa. A po drugie, okazało się po stuleciach, że zmarł w czwartym roku przed naszą erą.

Oto zagwozdka pierwszej jakości: jak prześladował, skoro nie żył?

Zwyczajnie – pomyślono się, wyznaczając datę narodzin Jezusa.

Przywołałem postać Heroda dla ukazania, że przyszłość i przeszłość nie różnią się istotnie z punktu widzenia opowieści. Obie są plastyczne, dynamiczne i nigdy nie tracą narracyjnego potencjału. Opowiadanie wstecz nie różni się istotnie od wymyślania w przód.

W wymyślonej opowieści można wymyślić wewnętrzną opowieść. Z takim przypadkiem mamy do czynienia w monumentalnej powieści Neala Stephensona „Peanatema”.

Peanatema (I) W protorthyjskim: poetycka lub muzyczna inwokacja do Naszej Matki Hylaei, która od czasów Adrakhonesy jest szczytowym momentem codziennej liturgii (stad skrócona forma fluksyjska pean, oznaczająca pieśń o wielkim ładunku emocjonalnym, zwłaszcza taką, która zachęca słuchaczy do wspólnego śpiewania).

Uwaga: W tym znaczeniu p. jest słowem przestarzałym i używanym wyłącznie w kontekście rytualnym, kiedy nie zachodzi ryzyko pomylenia ze znacznie powszechniejszym znaczeniem 2. (2) W noworthyjskim: ryt, w którym niereformulany fraa lub niereformulalna suur zostają usunięci z matemu, a ich prace trafiają do spi-

su książek zakazanych (stąd skrócona forma fluksyjska anatema, oznaczająca potępienie poglądów i idei uważanych za niemożliwe do zaakceptowania). Patrz także: Odrzucenie. – Słownik, wydanie czwarte, 3000 p.r.

Prawda, że nic nie rozumiemy?

W opowieści Stephensona lądujemy na nieznanym, choć podobnym do naszego globie. Społeczeństwo dzieli się na Deklarantów i Sekularów. Ci drudzy toczą życie podobne do naszego: z mniejszym bądź większym trudem gromadzą dobra materialne i uciechy, doprowadzając regularnie do globalnych katastrof. Ci pierwsi oddają się szlachetnej nauce i medytacji, żyjąc w zgodzie z Dyscypliną. Zajmują się przede wszystkim czystą, teoretyczną wiedzą, czyli tym, co pozornie uchodzi za odkrojone od codziennego życia.

Dodajmy jeszcze, że przebywają w odciętych od świata wspólnotach – matematkach. Te dzielą się na jednoroczne, dziesięcioletnie, stuletnie i tysięczniki. Nazwa wskazuje na okres zamknięcia. Kontakt ze światem zewnętrznym jest możliwy raz na – odpowiednio – rok, dziesięć lat, sto lub tysiąc, tylko i wyłącznie podczas specjalnej uroczystości. Wtedy też poszczególnym matematom wolno skomunikować się ze sobą. Daje to okazję do porównania odkryć bądź dróg, którymi biegły dociekania naukowców.

Pomysł fascynujący. Wyobraźmy sobie, że na dziesięć lat odcinamy od świata Wyższą Szkołę Kultury Społecznej i Medialnej o. Rydzka i – bo czemu nie? – Papieski Wydział Teologiczny, instytucje i tak ze światem doczesnym umownie powiązane. Jakich odkryć moglibyśmy się spodziewać? Czy zgadzałyby się liczba naukowców na początku i końcu eksperymentu? Czy pogłębiłyby się nasza wiedza o geotermach? Czy zyskalibyśmy pewność, że Piekło jest puste? I którzy do Nieba?

W „Peanatemie”, złożonej Pieśni Usunięcia, u końca dochodzi do spotkania Deklarantów z Ziemianami. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Nieszczęśliwie rozpoczęliśmy nasz pobyt w gwiazdozbiórach. Łajka, zwana Kędziorkiem, pierwsza zdobyła orbitę okołozemską. Była na drugim miejscu spośród sześciu psonautek, lecz numer jeden, Albina, zaliczywszy dwa loty eksperymentalne, poczęła szczenięta. Nie chciano rozdzielać matki od miotu. Łajka poleciała w kosmicznej budzie.

Schwytano ją na ulicach Moskwy. Trafiła do Instytutu Medycyny Lotniczej. W chwili lotu miała dwa lata i ważyła sześć kilogramów.

Oficjalnie żyła kilka dni, naprawdę zmarła po około siedmiu godzinach lotu z powodu stresu i podwyższonej temperatury. Gdyby nawet przeżyła podróż, po dziesięciu dniach dostałaby do zjedzenia zatrutą karmę. Nikt nie zamierzał sprowadzać suczki do domu. A to niejedynie psonautki, przecież w atmosferze spłonęły Pszczółka i Muszka...

Przewidywaliśmy szlachetności i wspaniałości związane z eksploracją Kosmosu, tymczasem skończyło się na przeniesieniu w przestrzeń naszego ziemskiego śmietnika. Coraz gęstsze pierścienie śmieci powstałych ze szczątków pojazdów kosmicznych przemieniają naszą planetę w kosmiczne wysypisko. Prawdopodobnie uchroni to nas przed inwazją Obcych. Kto chciałby najechać kosza na śmieci?

3.

Nie spodziewaliśmy się świata, w którym żyjemy.

Kiedy mieszkałem na wsi i czas spędzałem głównie z babcią, kompletnie nie przewidywałem przyszłości. To znaczy – rozumiałem drogi, które mogły mnie dopro-

wadzić do delikcji albo oranżady. Wydaje mi się, że moja prekognicja kończyła się na kulinariach.

W okolicach podstawówki przenieśliśmy się do miasta. Przez ulicę od domu leżał hotel Turkus. Budynek z wielkiej płyty, obecnie jeszcze mniej turkusowy niż w przeszłości, albowiem fasadę pomalowano w biało-czerwone pasy. Ponieważ nazwę ulicy zmieniono ze Zwycięstwa na Jana Pawła II, wydaje się, że stosowniejsza byłaby żółć i biel.

Hotel zawierał wielobarwne, za dnia nieco rozmyte w makijażu panie oraz bar, za którym biało-czarny pan miał lodówkę, a w niej – butelki pepsi. Ceny podobno dewizowe, cokolwiek to znaczyło, mimo to czasem dawało się namówić rodziców na wydatek.

Przez ulicę chodziliśmy do hotelu sami, to jest z sąsiadem w moim wieku. Matki noga nigdy by nie postąpiła w „takim miejscu”, ojca zaś noga bardzo chętnie, tylko miał zakaz. Koryntianki niestety nas nie zauważały. Matka powiedziała, że na nagrobku napisze mi: „Zginął głupio w drodze po pepsi”, więc lepiej, żebym uważał. Widziałem po prawdzie lepsze dedykacje, na przykład na pewnym cmentarzu w Ameryce Środkowej stało – „Dobry ojciec, zły elektryk”. Nietrudno przewidzieć przyczynę zgonu. Przewidywania matki na razie się nie ziściły.

Rozmowa z matką.

– Zostały cztery respiratory. Jakby co człowiek się nie załapie.

– Jesteś zdrowa, mam.

– Teraz zdrowa, potem niezdrowa.

Nie poradziłem, żeby zachorowała prewencyjnie. Rozmowy z matką dotyczą przyszłości. Rokowania są kiepskie, plany natomiast niezłe.

Planowanie to też rodzaj przewidywania przyszłości w wymiarze praktycznym. Do końca podstawówki planowałem trzy rzeczy. Raz: jak dojść do szkoły, omijając miejsca, gdzie starsi chłopcy pluli i gnębili młodszych. Dwa: jak zabezpieczyć zabawki przed braćmi. Trzy: jaki pogrzeb sobie wybrać do urzędzenia.

Nie zamierzałem umierać. Jednakże w pogrzebach zdobyłem znakomite rozeznanie, żal by było zmarnować wiedzę. Babcia posiadała piękny, mocny głos i wspaniałe zawodziła, dlatego zapraszała ją na liczne pochówki, a przy okazji

i mnie. Było zawsze miło i nie musiałem płakać. Zawodowo płakała babcia. I z tych naoglądanych pogrzebów składałem sobie idealny pogrzeb mojej przyszłości. Dziś nie pamiętam, jak przebiegał. Z pewnością w morzu leż, ścianie szlochów i przy kilku widowiskowych omdleniach na omastę. Babcia generalnie omdlewała nad wyraz skąpo, rezerwując ów akt dla najważniejszych nieboszczyków. Poza tym osuwanie się na trumnę albo do dziury w ziemi było niebezpieczne. Babcia była płaczką, nie kaskaderką.

Od liceum po dziś dzień planuję sobie życie w niedługiej perspektywie. Albo poddaję się urokom rozmaitych deklajnow. W pewnym sensie to przyszłość mnie planuje wstecz, ja tylko staram się wypełnić jej wymagania.

Początki pandemii przeoczyłem na wsi. Pracowałem nad powieścią, niezbyt chłonałem świat zewnętrzny. Również nazwa wydała mi się niegroźna. Koronawirus. W Ameryce Środkowej, gdzie spędziłem kilka lat głównie w miejscowościach nadmorskich, zdarzało się, że w porcie nie dało się kupić świeżych ryb. Rybacy, owszem, wypływali w morze, jednak celem ich łowiectwa nie były zwierzęta, lecz paczki kokainy wyrzucane przez przemytników do morza, gdy za bardzo zbliżała się policja. A gdy któryś wyłowił, to się o nim mówiło „coronado”, czyli ukoronowany. Generalnie pozytywny przekaz.

A tu proszę – taka beznadzieja. Epidemia, która toczy się za ścianami i w kwarantannach. Żadnych zwłok na ulicach, gdyby nie bliscy, którym ktoś zmarł lub zachorował, można by sądzić, że jest równie prawdziwa jak życie na Facebooku czy Twitterze. Pandemia na nowe czasy, w pikselowej tkance. Jak Piekło.

Kiedyś mówiło się „nie do uwierzenia” na widok skrajnego cierpienia, teraz ten zły widok został usunięty.

Jaki będzie świat przyszłości? Osoby z wizją całościową mnie przerażają. Zaczęlbym od zapewnienia takim osobom spokoju i niezbędnej pomocy. Na wszelki wypadek.

Wolę myśleć, że świat przyszłości będzie wynikiem małego planowania małych działań mrowia ludzi. I nas zaskoczy. Nie wiem, czy pozytywnie.

Na koniec mądrość z gwiazd, konkretnie ze „Star Treka”: „My, Kelpianie, rodzimy się przerażeni. I to pozwala nam przetrwać”. ●

Ignacy Karpowicz

• pisarz, autor powieści „Niehalo” (nominowana do Paszportów „Polityki”), „Cud”, „Gesty” (finał Nike), „Balladyny i romanse” (finał Nike, Paszport „Polityki”), „Ości” (Nike Czytelników), „Sońka” (finał Nike) oraz „Miłość”. Jego powieści zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, w tym angielski, hiszpański, francuski i niemiecki

Czesław Miłosz, z tomu „Piesek przydrożny”



FOT. MICHAŁ MUTOR / AG

„Przyszłość jest niedokładna. Kto żyje długo, wie, jak bardzo to, co widział na własne oczy, obrosło plotką, legendą, powiększającą albo pomniejszającą wieścią”

PARTNER STRATEGICZNY



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

J U T R O N A U C I · 2020

ŚWIAT PO PANDEMII

EDYCJA SPECJALNA

Jutronauci 2020

Świat po pandemii. Edycja specjalna

PARTNER WSPIERAJĄCY

FANUC

Nowa rzeczywistość nie musi być koszmarem, może być pełna szans. Nad tym zastanawiamy się w tym wyjątkowym roku wraz jutronautami z poprzednich trzech edycji – wyjątkowymi

osobami z pozornie odległych od siebie światów, które tłumaczą przyszłość czytelnikom „Wyborczej”. Zaprosiliśmy wielu innych ekspertów, którzy dzielą z nami swoimi prognozami.

To już czwarta edycja programu „Jutronauci”, którego partnerem strategicznym jest Sebastian Kulczyk. Partnerem wspierającym jest FANUC.

„Jutronautów” zredagowali:

Prowadzący: **Marek Markowski**.

Wybór cytatów: **Jan Cywiński**.

Grafika: **Krzysztof Pietrasik**.

Foto: **Dorota Nowacka, Rafał Szczepankowski**.

Korekta: zespół.

Internet: **Anna Brzychcy, Agnieszka Mularczyk,**

Hanna Zakrzewska.

Ilustracja na okładce: **Igor Morski**.

Na Zoomie gorzej się myśli

Wrócimy do biur nie tylko dlatego, że tam łatwiej nas kontrolować. Burza mózgow online to burza w szklance wody.

Z BARTŁOMIJEM BRACHEM
ROZMAWIA VADIM MAKARENKO

VADIM MAKARENKO: Praca zdalna – błogosławieństwo czy przekleństwo? BARTŁOMIJ BRACH: To pytanie nie do końca dobrze postawione. Mieszmamy dwie sytuacje: pracy z domu oraz pracy podczas pandemii. Sama praca zdalna może być błogosławieństwem – niektórzy zawsze pracowali w domu, były zawody własnego gabinetu, jak pisarz czy tłumacz – o ile spełnimy cztery warunki.

Pierwszy: musimy mieć miejsce. A Polska jest krajem o jednej z najmniejszych przestrzeni mieszkalnych w Europie. Tłoczmy się w mieszkaniach i wygospodarowanie przestrzeni do pracy – nie mówiąc już o gabinecie – jest naprawdę wyzwaniem.

Drugi warunek: ludzie w naszym bezpośrednim otoczeniu. Pracując zdalnie, odcinamy sobie bardzo ważną rzecz związaną z życiem biurowym – rozmowy na papierosie, przy kawie, podczas obiadu. To moment, w którym możemy zapytać kolegów: jak idą projekty, co się dzieje – ale też po prostu: „Jak się czujesz?”, „Co u ciebie?”, „Jak syn, jak córka?”, „Co tam na zajęciach sportowych?”. Ze wszystkich badań wynika, że takie biurowe pogaduszki są nam bardzo potrzebne.

Trzeci warunek to rutyna. Wydawało się, że praca w biurze rozprasza, bo cały czas ktoś podchodzi, czegoś chce, przychodzą maile. Ale w domu rozpraszają nas kuchnia, pranie, sprząatanie, joga.

Czwarty warunek to cel, czyli przeświadczenie, że pracujemy, by zrealizować coś dla nas ważnego. W domu cały czas przelączamy się z telekonferencji na telekonferencję, odpisujemy na maile, coś piszemy, ale nie widzimy, żeby z naszej pracy coś się wykluwało. Te efekty widać, kiedy jesteśmy z innymi ludźmi albo dopiero po jakimś czasie. Pracujesz w firmie odzieżowej. Kiedy jesteś w firmie, widzisz powstawanie kolekcji – na manekinach są upinane kolejne ubrania. Kiedy jesteś w domu, to ciężko powiedzieć, jak i czy w ogóle ta kolekcja powstaje, mimo że robisz swoją pracę najlepiej, jak potrafisz.

Ale o co chodzi z tym mieszaniną dwóch porządków – pracy zdalnej i pracy zdalnej podczas pandemii?

Praca zdalna może być błogosławieństwem, o ile wiemy, jak ją wykonywać. Praca zdalna podczas kryzysu to zawsze będzie przekleństwo, nieważne, jak do niej podejmiemy. Bo musimy wykonywać dwie prace: bieżącą, i to często w trudnych warunkach, ale także pracę, która ma nas przygotować na to, co przyniesie przyszłość.

Firmy już wiedzą, że dotychczasowy model działania będzie nie do utrzymania. Spadają przychody, zmieniają się dostawy, ceny, warunki importu, więc musimy robić to, co jest w danym momencie kluczowe,



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA GAZETA

ale też przygotowywać firmę na to, co się zdarzy za miesiąc albo za kwartał.

Mamy więc dwa etaty wymagające różnych trybów działania i myślenia – z jednej strony efektywności w danej chwili, a z drugiej strony zdolności przewidywania, kreatywności oraz planowania. Taka praca jest podwójnie obciążająca, a na domiar złego wykonujemy ją w sytuacji, do której nie jesteśmy przystosowani kulturowo.

Pandemia to czysta niepewność, a jesteśmy narodem, który – jak wynika z badań – bardzo sobie ceni unikanie niepewności. Za wszelką cenę szukamy pewności, przewidywalności, poczucia bezpieczeństwa. Nie potrafimy sobie powiedzieć: no dobrze, nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co się zmieni, ale będziemy w tej zmianie – co potrafia np. Szwedzi.

A jak się czują ludzie, którzy nie mogą pracować zdalnie? Czy ta sytuacja nie pogłębia dodatkowo podziałów społecznych?

– Kiedyś mówiliśmy o zawodach prestiżowych i nieprestiżowych, teraz mówimy o pracownikach „essential workers” i „non-essential workers”. Essential worker, czyli pracownik kluczowy – to ten, który musi wykonywać swoją pracę, bo inaczej wszyscy odczujemy jej brak. Pracownik służby zdrowia, dyskontu, firmy logistycznej, dostawca, kurier, człowiek wytwarzający żywność, leki.

Ty i ja jesteśmy przykładami tej drugiej grupy. Gdyby twoja praca dziennikarza albo moja praca badacza na rok, na dwa została zlikwidowana, czy ktokolwiek by się zorientował? Odczuł jakiś brak korzyści albo wręcz stratę?

– Ten podział ma kolosalne skutki dla pracowników. Każdy z nas próbuje zbudować w sobie poczucie, że jego praca ma jakiś sens, że robimy coś, co jest pożyteczne. Nawet jeśli pracujesz głównie dla pieniędzy, to masz z tyłu głowy przeświadczenie, że warto ze względu na jakąś inną gratyfikację niż tylko finansowa. Teraz odkrywamy, że bardzo często to iluzja. Część zawodów – jak np. praca w reklamie – w czasach pandemii mogłaby nie istnieć i nic by się nie stało.

Natomiast są zawody, na które nie zwracaliśmy uwagi albo wręcz traktowaliśmy z pogardą, a odkryliśmy, że bez nich nie ma społeczeństwa. Pielęgniarki – lekceważone i nędźnie wynagradzane – teraz są naszymi bohaterami. Albo ludzie, którzy wywożą śmieci z naszego osiedla. Na co dzień prawie ich nie zauważamy, a teraz... Oni mogą czuć podwójny sens swojej pracy, bo dodatkowo widzą, że inni zauważają ich znaczenie.

Czy ten podział zostanie na dłużej?

– Wszyscy tak bardzo chcemy wrócić do starej normalności, że będziemy starali się

za wszelką cenę przywrócić ten porządek, który znaleźliśmy. I znów dawne zmienne – związane z siłą przetargową albo z kompozycją płci w danym zawodzie – będą sprawiały, że jednych lepiej wynagradzamy, drugich gorzej, jedni są bardziej szanowani, a drudzy mniej.

A wrócimy do biur? Będą jeszcze potrzebne? Jedni mówią, że będą, ale dużo mniejsze. Ale Eric Schmidt, były prezes Google’a, powiedział: popyt na przestrzeń biurową wzrośnie.

– To jest pytanie, które bym odwrócił. Powiedz, jak się czuleś, nie mogąc chodzić do redakcji?

Doskonale. Potrzebuję spokoju, skupienia i to mam.

– To jesteś wyjątkowy. Większość osób chodzi do pracy nie tylko po to, żeby zarobić, ale też po to, żeby zaspokoić potrzebę socjalizacji. W biurze znajdujemy szansę na to, żeby być z innymi. Spotykamy się z ludźmi podobnymi do nas, którzy mają coś interesującego do powiedzenia, z którymi możemy niezobowiązująco poplotkować i poczuć, że tworzymy coś więcej.

A menedżerom czy właścicielom firm też pasuje, żeby ludzie byli w biurach, bo chcą wpływać na to, jak pracownicy realizują zadania. Kontrolować. Tam mają większą władzę niż na Zoomie albo przez telefon.

Tylko pytanie: jakie te biura właśnie będą?

Gdyby twoja praca dziennikarza albo moja praca badacza na rok, dwa zostały zlikwidowane, czy ktokolwiek by się zorientował? Odczuł jakiś brak korzyści albo wręcz stratę?

Dużo trudniejsze.

– Oczywiście możemy sobie wyobrazić dwie skrajności: małe biura, do których się wpada, by załatwić formalności, odebrać pocztę, zostawić pracę, odbyć spotkanie i wyjść – albo jeszcze większe, żeby ludzie mogli zachowywać dystans społeczny i czuć się bezpiecznie.

Blizsza realizacji jest ta druga wizja, bo w biurach będziemy spędzać dużo czasu. Chodzenie do restauracji czy kawiarni zostanie uznane za bardziej niebezpieczne

ze względów sanitarnych, takie miejsca trudniej kontrolować niż biuro, w którym można wprowadzić każdego rodzaju restrykcje. Więc będziemy woleli spotykać się w biurach.

Jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego wrócimy: chcielibyśmy, żeby nasza gospodarka była w większym stopniu oparta na wiedzy. A wiedza to też wymyślanie, które często jest procesem grupowym. Wspólne wymyślanie bardzo trudno symulować w przestrzeni wirtualnej.

– Prof. Gianpiero Petriglieri opisał w „Harvard Business Review”, jak praca zdalna w grupie na wideokonferencji jest niesamowicie męcząca i dlatego bardzo mało kreatywna. Kiedy pracujemy z grupą, musimy czuć, że się rozumiemy, że się synchronizujemy. To bierze się z tego, że czytamy sygnały niewerbalne, bardzo często podświadomie. Siedząc z ludźmi przy jednym stole, możemy dostrzec, czy inni wspierają nasz pomysł, czy się dobrze dogadujemy, czy coś zgrzyta, w jakim kierunku idzie rozmowa. Na Zoomie czy Teamsach albo się nie widzimy, albo widzimy kawałek twarzy, nie widzimy całej grupy, musimy poświęcać sporo energii na analizowanie ludzi po drugiej stronie ekranu, na odgadywanie, w jakim są stanie.

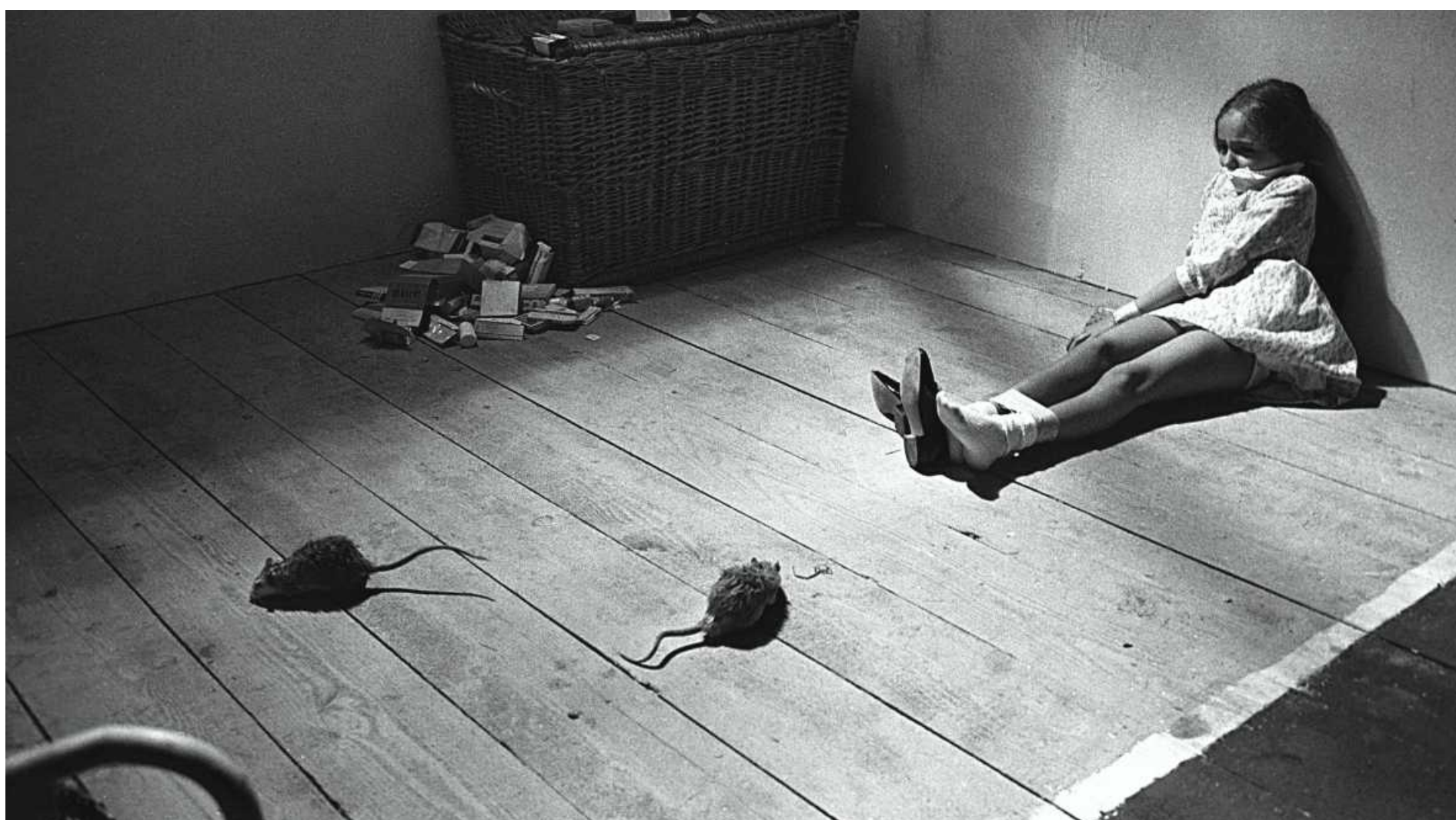
Tomek Opasiński, który pracował w dziale kreatywnym Netflixu, też uważa, że pewnych spotkań nie da się zastąpić telekonferencją. Trzeba pojechać, spotkać się, usiąść na podłodze, rysować i obserwować reakcję drugiej strony. Tylko czy będziemy mieli jakąś dobroć w wyborze charakteru pracy? Szeffowie będą krzywo patrzeć na pracownika chcącego pracować zdalnie?

– Do trybu, w którym żyliśmy do tej pory, czyli ciągłego przebywania w biurze, a raz w miesiącu – w nagrodę – pracy przez dwa dni z domu, nie ma powrotu. Praca będzie zmienna. Będziemy chodzić do dużych biur, ale nie codziennie. A może przejdziemy na system zmianowy? Jeśli firma nie będzie w stanie dokupić metrów kwadratowych, to wprowadzi zmiany jak w fabrykach. ●

Rozmowy z Bartłojem Brachem możesz wysłuchać tutaj: <https://wyborcza.pl/podcast/0,172673.html?podcast=90441>

Bartłoj Brach

• założyciel firmy brightlight, antropolog, bada kulturę organizacji, analizuje znaczenie, jakie ludzie nadają swojej pracy i firmom. Autor raportu „W poszukiwaniu sensu pracy”



FOT. GETTY IMAGES

PRZEPRASZAM CIĘ, SZCZURZE

Wobec zwierząt, które żyją gdzieś tam w puszczy – wilka, niedźwiedzia – czujemy zaprawiony lękiem podziw. Szczur to dzikość, która jest gdzieś blisko, pod domem. I dlatego tak niepokojąca.

Z **GABRIELĄ JARZĘBOWSKĄ***
ROZMAWIA **AGA KOZAK**

AGA KOZAK: Dlaczego właśnie szczury?

GABRIELA JARZĘBOWSKA: Zaczęło się od zainteresowania relacjami między ludźmi a innymi zwierzętami w mieście. Uświadomiłam sobie, że to właśnie szczury są najciekawsze, a zarazem niemal całkowicie pomijane. Kiedy rozmawiamy o ekologii w mieście, o zrównoważonej polityce miejskiej, zazwyczaj mówimy o drzewach, ptakach śpiewających, czasem o kotach, bywa, że o gołębiach. Szczury kompletnie pomijamy. Zaczęłam się zastanawiać dlaczego.

Bo to nie zwierzątko, tylko „brud”?

– Otóż to. Pojawiają się wyłącznie w debatach związanych z zachowaniem czystości, higieny, w narracjach sanitarnych. Bardzo mnie zaniepokoiło, że zwierzęta, które są bardzo inteligentnymi ssakami, traktujemy w ten sposób. Przecież szczur wędrowny jest – nie licząc człowieka – najlepiej zbadanym zwierzęciem na Ziemi, jeśli chodzi o fi-

zjologię i o zdolności kognitywne. Wiemy, że to inteligentne, doznaniowe zwierzęta, a jednak gdy mowa o zwierzętach w mieście, ich podmiotowość jest całkowicie pomijana.

A czym ty się w ogóle zajmujesz? Bo to chyba jakiś Hogwart...

– Humanistyka środowiskowa zajmuje się relacjami między ludźmi a środowiskiem i poddaje je krytycznej refleksji. Rozwija się intensywnie i – co ważne – jest silnie interdyscyplinarna. W badaniach używam metod i wiedzy z różnych dyscyplin.

To znaczy?

– Jestem kulturoznawczynią, studia magisterskie zrobiłam z historii sztuki – dlatego jestem wyczulona na analizę wyobrażeń, przedstawień zwierząt, sposób, w jaki kształtują się społeczne postawy wobec nich – a zarazem mocno opieram się na naukach przyrodniczych. Na biologii, zwłaszcza etologii szczura, na ekologii, epidemiologii.

Tym jest właśnie interdyscyplinarność. W naukach i przyrodniczych, i humanistycznych narasta świadomość, że zostając w bąbelku własnej dyscypliny, bardzo wiele tracimy. W obliczu problemów, z którymi się właśnie stykamy – katastrofy klimatycznej, pandemii – trudno nie zadawać sobie fundamentalnych pytań o hipersprawczość człowieka, a jednocześnie o jego uzależnienie od nie-ludzkich form życia.

Ale – wybac – czy humaniści przydają się w tych debatach?

– Transfer wiedzy nie idzie tylko w jedną stronę: ze strony nauk ścisłych czy przyrod-

niczych w stronę humanistyki. Refleksja humanistyczna czy filozoficzna jest nieodzowna. Wnosi choćby refleksję nieantropocentryczną.

Czyli?

– Antropocentryzm to sposób myślenia, który ustanawia człowieka jako centrum wszechrzeczy. Już nie Bóg, nie przyroda, nie przodkowie, jakieś nie-ludzkie siły, ale też nie środowisko, nie-ludscy Inni, tylko człowiek. Jego interesy są stawiane na pierwszym miejscu.

Możemy „wyjść” z tego myślenia?

– Intuicyjnie stawiamy interesy istot nam najbliższych gatunkowo na pierwszym miejscu. Od tego nie uciekniemy. Natomiast twarde antropocentryzm to postawa, która ustanawia, że interesy innych od nas zwierząt nie mają znaczenia.

Interesy dosłownie.

– Dosłownie. Niekoniecznie zdrowie czy dobrostan, ogólnie życie, ale interesy ekonomiczne. To, że chcemy zarobić, jest ważniejsze dla nas niż cierpienie innych gatunków. Współczesne nurty w filozofii – jak choćby posthumanizm – mocno to podważają.

Czyli?

– Posthumanistyczni myśliciele i myślicielki, tacy jak Donna Haraway, Rosi Braidotti czy Bruno Latour, podkreślają, że funkcjonujemy w olbrzymiej sieci wzajemnych zależności nie tylko z innymi ludźmi, ale też z nie-ludzkimi zwierzętami, roślinami, Ziemią, i te zależności kształtują nas jako ludzi. Nie

możemy od nich abstrahować, tworząc fikcyjną figurę człowieka: odcieśnionego karzejańskiego mózgu oderwanego od reszty stworzenia i patrzącego na nie z góry. Jak możemy tak myśleć, pytają posthumaniści, skoro nawet nasze ciała zamieszkują w dużej części komórki, które nie są ludzkie?

Jako ludzie mamy tendencję, żeby nadawać zwierzętom ludzkie cechy. Ich dzikość nas tak przeraża, że staramy się je po prostu zantropomorfizować. I przy tym często się mylimy. Już Konrad Lorenz kpił, że sowa wcale nie jest taka mądra. A jak jest ze szczurem?

– Szczur to jeszcze ciekawsza figura. Zaczniemy może od tego, że szczury są gatunkiem komensalnym, czyli takim, który ewoluował w towarzystwie człowieka i jest przystosowany ewolucyjnie do życia w otoczeniu siedzib ludzkich. Czyli to mit, że „szczur się wdarł na nasze tereny”. Nasze siedliska są też jego siedliskami: od tysięcy lat przebywamy razem.

Ale tak, szczur zawsze był traktowany jako szkodnik. Ba, w późnym średniowieczu i w czasach wczesnonowożytnych bywał dodatkowo ukazywany jako towarzysz wiedźm – zwierzę demoniczne.

Złowieszczo.

– Tylko wtedy jego status nie był tak wyjątkowy, jak jest dzisiaj. Wiedźmom towarzyszyły myszy, ropuchy, węże, nietoperze, koty... Jeszcze w XIX wieku szczur miał status zbliżony do myszy, czyli był uznawany za banalnego, gospodarskiego szkodnika. Nic szczególnego.

To kiedy stał się demonem?

– W XIX wieku, co było następstwem trzech zjawisk. Pierwsze, typowo ekologiczne, to wyparcie w XVIII wieku szczura śniadego przez wędrownego – większego, bardziej agresywnego. Drugie to początek kanalizowania miast europejskich. Szczury znalazły w tych kanałach doskonale miejsce do życia, więc zaczęły się kojarzyć z czymś mrocznym, żyjącym pod ziemią – a człowiek ma takie wyobrażenie, że jak coś żyje w podziemiach, to jest demoniczne, niebezpieczne.

Bo kojarzy się z piekłem...

– ...z silami chthonicznymi.

Natomiast trzeci, bardzo ważny czynnik, który u zarania XX wieku ugruntował jego fatalną reputację, to naukowe dowody na to, że szczury mogą przynosić dżumę. Co najmniej od międzywojnia obserwujemy bardzo wyraźne wzmożenie polityki tępienia szczurów – bardziej metodycznej, związanej z szeroko zakrojonymi akcjami propagandowymi. Zaczęto masowo przekonywać ludzi do bezwzględnego tępienia tych ssaków. Wcześniej oczywiście to robiono, ale nie z taką zawziętością. A w XX wieku akcje są prowadzone najczęściej na poziomie całego miasta czy nawet kraju, skoordynowane i połączone z działaniami edukacyjnymi, w których szczury przedstawiane są jako roznosiciele chorób, zarazków. Kilka pokoleń wyrosło na takiej propagandzie i dzisiaj już nie widzimy w szczurach ssaków, które zamieszkują wraz z nami miasta. Problematycznych, ale jednak zwierząt. Widzimy wyłącznie odcieleśnionego roznosiciela chorób.

Kompletnie pozbyliśmy się odpowiedzialności za szczura, choć to my go podkarmiamy, prowadząc fatalną gospodarkę żywnością czy odpadami. To my go zaprosiliśmy na różne kontynenty. Ale wolimy zrzucić wszystko na zwierzę.

– W wiele zakątków globu szczur dotarł razem z człowiekiem, co zrodziło poważne problemy, zwłaszcza w małych ekosystemach wyspowych, w których szczury stały się gatunkiem inwazyjnym, realnie zagrożającym wielu endemicznym gatunkom ptaków czy drobnych ssaków. A o niewłaściwej utylizacji odpadków wiadomo od lat – i wciąż niewiele się z tym robi. I owszem, kolonie szczurów w miastach są tak liczne, bo mają co jeść.

Mają mnóstwo jedzenia, bo my, ludzie, bezmyślnie je marnujemy.

– Dużo się ostatnio mówi o etycznych i środowiskowych kosztach wyrzucania jedzenia, a niewiele słyszymy, że ta niefrasobliwość wpływa na rozwój populacji szczurów. Czyli brutalnie je eksterminujemy, karząc za naszą niegospodarność, lekkomyślność i rozrzutność.

Co przychodzi nam z łatwością, bo szczur, oprócz tego, że zły, jest brudny.

– Chociaż mieszkają często w miejscach, które kojarzą się z brudem i nieczystościami, szczury są bardzo czystymi zwierzętami. Mit o brudnym szczurze narodził się w XIX wieku, a ugruntował w XX z tych samych powodów, dla których go symbolicznie zdegradowaliśmy.

A przecież w kulturze funkcjonują na równych prawach dwa skrajnie różne statusy szczura. Z jednej strony ten miejski, synonim wszelkiego zła, agresji, upadku. Z drugiej – laboratoryjny, wykorzystywany często w brutalny sposób jako organizm modelowy do badań, ale też towarzyszący, domowy. W obu przypadkach czysty, wręcz steryl-ny, mądry.

Ale jeśli stosujemy go w porównaniach – miasto szczurów, inwazja szczurów, coś czy ktoś jest jak szczur – to żeby zilustrować degrengoladę, inwazję, podstęp. Coś wyparte, brudne, ohydne. Aż tak do celów propagandowych wykorzystaliśmy chyba tylko jeszcze stonkę.

– W toku moich badań wypłynęło fascynujące zjawisko. Jeżeli przyjrzymy się plakatowi propagandowym z czasów stalinow-

skich, to zobaczymy, że szczur był wówczas przedstawiany dosłownie jako wróg polityczny. Podobnie jak właśnie stonka ziemniaczana. I mało kto wie, że analogiczny program eksterminacji był też prowadzony przeciwko szczurom.

Zresztą w propagandzie stalinowskiej często na pierwszy rzut oka nie wiemy, czy dany plakat wzywa do tępienia szczurów, bazując na chwytach retorycznych z plakatów politycznych wzywających do tępienia wrogów ludu, czy odwrotnie. Tak są podobne.

W retoryce rasistowskiej to Żydzi byli przedstawiani jako szczury.

– A w retoryce amerykańskiej Japończycy – to nie jest wyłącznie wymysł nazistów.

Zarazem odbywa się podobny proces w stosunku do nielubianych zwierząt. Nazywam go odwróconą nobilitacją. Szczury są antropomorfizowane, ale wyłącznie w tym celu, żeby przydać im określonych cech charakterystycznych dla ludzkiego wroga.

Ale we współczesnej retoryce deratyzacyjnej nie tyle antropomorfizujemy szczura, ile degradujemy go do poziomu patogenu. Mówi się o „czyszczeniu danego obszaru z czynników chorobotwórczych”. Szczury są przedstawiane jako wektory choroby, fizyczne zwierzę znika, zmienia się w odcieleśniony, skrajnie niebezpieczny żywioł.

A to nie jest tak, że my tę zwierzęcą dzikość, której się boimy – bo jest związana z pewnego rodzaju taką tajemniczą siłą, która jest poza nami, z naturą, której trzeba się kłaniać, która rządzi życiem i śmiercią, seksualnością – lubimy poddać kontroli różnego rodzaju strategiami? Np. nazywaniem mięsa świni wieprzowiną. Staramy się „odzwierzęcić zwierzęta”, bo ich się boimy.

– Jedną rzecz to zjawisko odcieleśniania zwierząt, które zjadamy albo których ciała wykorzystujemy. Jemy wieprzowinę i wołowinę, a nie świnię czy krowę. Jest mnóstwo strategii retorycznych, które mają na celu odświeżenie poczucia winy.

Natomiast dzikość i nieokielzanie przyrody są uznawane za coś destabilizującego, niepokojącego, ale też w jakimś stopniu podziwianego – pod warunkiem że znajdują się w pewnym dystansie od nas. Wobec dzikich zwierząt, które żyją gdzieś tam w puszczy – wilka, niedźwiedzia – czujemy zaprawiony lękiem podziw, one budzą fascynację, jesteśmy w stanie nawet uznać, że są czymś wartościowym, czemu należy się ochrona. Natomiast szczur to taka dzikość, która jest gdzieś blisko. I dlatego tym bardziej niepokojąca.

O inteligentnych, doznaniowych zwierzętach rozmawiamy niemal wyłącznie w kontekstach czystości, higieny, sanitarnym

Bo one nie są tu przypadkiem, nie wrócić „do domu” – do lasu. Nasz dom to ich dom.

– Dzielą z nami przestrzeń. Mogą być w naszym mieszkaniu, na naszym podwórku, w naszej piwnicy. To nie jest ta dzikość, którą będziemy chronić, jak ta charyzmatyczna megafauna. Szczura się nie chroni, szczura się tępi.

A tępi się nie tylko z powodów higienicznych, także w konsekwencji kulturowych wyobrażeń. Camus, Orwell, te wszystkie horrory klasy B, gdzie wygłodniałe szczury rzucają się na ludzi, legendy miejskie o szczurach wychodzących z toalety. To filtr, który warunkuje nasze postrzeganie tych wszechobylskich, ale niezbyt agresywnych miejskich ssaków.

To dlatego deratyzatorzy przeliczają szczury np. na kilogramy?

– Spotkałam się z takim przelicznikiem. Ale odkryłam, że tępiciele gryzoni mają zazwyczaj znacznie wyższy poziom refleksji na temat relacji między ludźmi a szczurami i znacznie niższy poziom lęku przed nimi niż przeciętni obywatele. Nie spotkałam ani jednej osoby wykonującej ten zawód, która podważałaby zdolności szczurów do odczuwania cierpienia. Ani takiej, która deklarowałaby, że kiedykolwiek czuła się zagrożona ze strony tych zwierząt. Większość deratyzatorów uważa, że wykonuje obowiązki pożyteczne społecznie, ale jednak moralnie ambiwalentne.

To bardzo ciekawe. Etyczny wymiar tępienia szczurów jest praktycznie nieobecny w publicznym dyskursie, w mediach, na forach. Tymczasem deratyzatorzy często podkreślają, że starają się pouczać klientów o konieczności działań prewencyjnych, zabijając traktując zazwyczaj jako nieprzyjemną ostateczność. Większość deklarowała też niechęć do tzw. pułapek klejowych czy lepowych.

Co to?

– Drastyczna metoda: wygląda jak lepy na owady. Łapie się na nie gryzonie, które umierają potworną śmiercią. Tradycyjne trucie działają z dużym opóźnieniem, nawet do tygodnia. A ludzie chcą się pozbyć szczurów tu i teraz. Wdrukowane kiedyś kulturowe sprawiają, że widząc szczurę, ludzie wpadają w panikę. Nie wiedzą, że te gryzonie się na nas nie rzucą.

Mam wrażenie, że język naszej rozmowy jest głęboko metaforyczny. Nie da się uniknąć analogii pomiędzy tym, jak traktujemy szczury, i tym, w jaki sposób traktujemy Innego, obcego, gorszego. Od razu przychodzi mi do głowy teoria homo sacer, „świętego człowieka” Agambena.

– Podobieństwa retoryczne między naracjami antyszczurzymi a ksenofobicznymi, antysemitycznymi – generalnie z mechanizmem tworzenia Innego – są porażające. A najbardziej poraża, że to, co obserwujemy we współczesnej retoryce antyszczurzej, to czysta mowa nienawiści.

Mocne.

– Brzmi kontrowersyjnie, bo jesteśmy przyzwyczajeni do używania go w kontekście relacji międzyludzkich. Ale uważam, że to, jak mówimy o szczurze w debacie publicznej i w codziennych rozmowach, jest bardzo dobrym probierzem poziomu naszej empatii i agresji. Wypowiedzi wzywające do ich eksterminacji, wyrażające skrajną pogardę, nie spotykają się z żadnymi formami ostracyzmu społecznego. Wprost przeciwnie. O szczurze można powiedzieć wszystko i ujdzie to na sucho.

To może powinniśmy wypracować nowy język mówienia o przyrodzie? Posthumanistyczny, który nas zrówna ze zwierzętami?

– To coś absolutnie fundamentalne, ale też ogromnie trudne. My, ludzie Zachodu, jesteśmy zapętleni w antropocentryzmie, dążeniu do absolutnej kontroli i lęku przed utratą kontroli. Pandemia trochę to rozpuszcza – wkracza czynnik nie-ludzki, który rozłożył ekonomię, nasze życie, wypoczynek, relacje. To jest dla nas szokiem.

A nie byłoby szokiem w mieście 200 lat temu...

– ...bo wtedy było oczywiste, że przyroda jest siłą, z którą musimy się zmagać. I że często wygrywa. Musimy więc wznosić modły o deszcz, przebłagać bogów albo próbować w jakiś bardziej praktyczny sposób jakoś z tą przyrodą negocjować – budując tamy czy schronienia. Natomiast nowoczesność ufundowała myślenie, zgodnie z którym jesteśmy podmiotem sprawującym absolutną kontrolę.

I do czego to doprowadziło? Dziś coraz częściej mówi się, że żyjemy w antropoc-

Juliusz Verne, z powieści „20 000 mil podmorskiej żeglugi”



FOT. FELIX NADAR/
DOMENA PUBLICZNA

„Można opierać się prawom ludzkim, ale nigdy – sprzeciwiać się przyrodzie”

nie, a więc jesteśmy jako ludzie siłą geologiczną, hipersprawczą w wymiarze globalnym. Ale Ziemia przetrwała wiele wstrząsów, natomiast gatunki dominujące już niekoniecznie.

To jak poprzestawiamy ludziom w głowach?

– Nie uważam, żeby był jakiś jeden język czy jedna określona strategia retoryczna. Potrzebujemy wielu różnych języków, które na wielu polach rozbiłyby monolit antropocentryzmu. Coraz silniej wybrzmiewają kwestie weganizmu czy praw zwierząt. Coraz częściej „nature” zastępujemy pojęciem „naturokultury”, bo przecież twarde podział na „nature” i „kulturę” wypacza nasze relacje ze światem, a „naturo” dzikiej, nieskażonej, „dziewiczej” już nie ma i może nigdy nie było. Zaczynamy mówić „nie-ludzkie zwierzęta” albo „poza-ludzkie zwierzęta”, a nie po prostu zwierzęta – jakbyśmy my zwierzętami nie byli. Obserwuję też powolną, ale konsekwentną zmianę w mówieniu o śmierci zwierząt. Dawniej „zdychały”, w najlepszym wypadku „padały”. Teraz coraz częściej po prostu umierają. Jest wiele strategii, które rozkruszają antropocentryzm kawałek po kawałek.

A co gdybyśmy po prostu uznali się za jeden z wielu gatunków, i to np. szkodnika podobnego do szczura?

– Niektórzy mówią, że człowiek jest najbardziej agresywnym gatunkiem inwazyjnym. Gatunek inwazyjny to taki gatunek, który pojawia się w nowym ekosystemie i doprowadza do wyniszczenia wcześniej istniejących tam gatunków albo zaburzenia równowagi ekologicznej. Oczywiście nie posuwałabym się zbyt daleko w tej narracji, bo ona nieuchronnie prowadzi do mizantropijnego wniosku, że powinniśmy się sami eksterminować. Ale tak, jesteśmy w tym podobni do szczura. Może dlatego tak bardzo go nie lubimy – bo podświadomie dostrzegamy w nim odbicie człowieka. ●

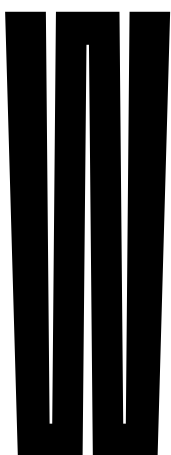
Dr Gabriela Jarzębowska

• asystent naukowej na Wydziale Artes Liberales UW, stypendystka Fulbrighta, laureatka konkursu Preludium Narodowego Centrum Nauki, w ramach którego realizuje projekt „Czystka gatunkowa. Polityczny wymiar tępienia szczurów w Polsce po 1945 roku”

ZASŁUGUJĘ NA WIĘCEJ NIŻ 72 LATA

Synapsy między neuronami zanikają, telomery się skracają. Kapłani technologii z Doliny Krzemowej odkrywają, że nieśmiertelności trzeba szukać gdzieś indziej niż w chmurze obliczeniowej

Magda Gacyk



W kierownictwie partii nasilała się panika. Dzwo- niły smartfony, stukwały klawiatury, internetowe łącza zdawały się prze- grzewać od ciągłych po- łączeń. Usiłowano rato- wać sytuację lub choćby ustalić jakiś kryzysowy PR. Na próżno. Wszystko zmierzało do katastrofy. Kandydat na prezydenta USA nie zamierzał słu- chać ani próśb, ani gróźb. Był zdeterminowany, by dotrzeć ze swoim

wideomanifestem do jak najszerzej rzeszy potencjalnych wyborców. Nie mógł dłużej czekać, zbliżała się połowa czerwca, do końca kampanii pozostało niespełna pół roku. Zamierzał poruszyć opinię publiczną i przelamać zarzuty partyjnych kolegów, że jest Najnudniejszym Prezydenckim Kandydatem 2020 roku.

Wejście odbyło się o czasie. Ben Zion w przekrzywionej bejsbolówce siedział wygodnie rozparty na krześle. W tle słychać było skoczną muzykę. 40-latek wyjaśnił wid- dzom, że wystartował w wyścigu do Białego Domu z ramienia Amerykańskiej Partii Transhumanistycznej z „technoprogresywną strategią ratowania ludzkości przed za- gładą spowodowaną katastrofą klimatyczną”. Jednym z filarów tego programu była zakrojona na szeroką skalę produkcja syntetycznej żywności. Stąd też wynikała jego głą- boka potrzeba zaprezentowania „na żywo” praktycznych korzyści płynących z tej koncepcji – tłumaczył Zion.

Po czym obwieścił, że właśnie zamierza dokonać czegoś, czego nigdy jeszcze nikt nie dokonał w historii ludzkości. Zamie- rza skosztować hamburgera z ludzkiego mięsa. Z tkanki, którą genetycznie uprawiał w prywatnym laboratorium.

W dalszej części transmisji można było obejrzyć, jak reprezentant transhumanistów najpierw pokazuje do kamery szalkę Petriego z kupką brązowawej mazi, potem wycią- ga z kieszeni widelec i z dużym trudem, po- wstrzymując odruch wymiotny, zjada za- wartość szklanego talerzyka.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Fora internetowe zatrzęsły się od oburzenia. I mdłości.

Ben Zion próbował jeszcze desperacko przekonywać, że kanibalizm jest idiotycznym tabu, bo stanowi przeciwieństwo naturalny od- ruch każdego osobnika, który musi walczyć o przetrwanie.

W następnych dniach spuścił z tonu. Usprawiedliwiał się, twierdząc, że nie był to kanibalizm per se, a właściwie akt autofa- gii, bo hamburgera wyhodował z komórek własnego naskórka. I dodawał, że miał przez dwa dni poważne zaburzenia gastryczne, więc zapłacił wystarczająco wysoką cenę i zasługuje na wybaczenie.

Partia nie wybaczyła. Ben Zion dyscy- plinarnie wyleciał. Jego miejsce zajął Char- lie Kam, transhumanistyczny przedsiębior-

ca, właściciel firmy tworzącej awatary lu- dzi w rzeczywistości wirtualnej. W materia- łach wyborczych, by zatrzeć fatalne wraże- nie, kilkakrotnie akcentowano, że Kam jest poważnym biznesmenem oddanym sprawie transhumanizmu, czyli serio traktuje kwe- stie walki ze starzeniem się i śmiercią. Dołą- czano też link do jednej z rozlicznych pio- senek jego autorstwa.

W utworze „Model” Kam wyśpiewywał: „Jestem swoim własnym modelem Osobli- wości Technologicznej/ Kombinacją eks- tropii i nieśmiertelności ślicznej/ Agresywnie podmieniam biochemię swego ciała/ Bo spuścizna ludzka archaizmem mi się stała/”.

*

Wizerunkowe kłopoty nie są jedynymi, z ja- kimi boryka się Amerykańska Partia Trans- humanistyczna. To zaledwie kilkuletnie ugrupowanie rodzi się w światopogląd- owych bólach. Zostało założone przez Zolta- na Istvana, byłego korespondenta wojenne- go, który podczas jednej z wypraw do dżun- gli w Wietnamie omal nie zginął na zaro- śniętym chaszczami polu minowym i od tamtego granicznego momentu postanowił poświęcić się walce ze starzeniem i umiera- niem.

„Zrozumiałem, że nie chcę przestać ist- nieć. I czułem, że mogą mi w tym pomóc najnowsze technologie – opowiadał mi póź- niej. – Jeszcze nie wiedziałam, że to dąże- nie do nieśmiertelności nazywa się trans- humanizmem, ale z czasem spotkałem po- dobnym sobie”.

Organizacja – z siedzibą w Dolinie Krze- mowej – została zarejestrowana w 2014 r. Moment i miejsce na stworzenie polityczne- go przyczółka wydawały się idealne.

W stolicy światowych innowacji trwała hossa. Powstawały kolejne start-upy, mnoży- ły się wyceniane na miliardy dolarów „jed- norożce”, technokorporacje rosły w siłę. Do ukrytych za szpalerami gęstych żywopłotów siedzib inwestycyjnych splotywał kapitał z ca- lego globu.

Jednocześnie pionierzy Silicon Valley, owi technowizjonerzy, wynalazcy i innowa- torzy, zaczęli mieć świadomość, że nie- uchronnie przemijają. Ich młodość się koń- czy, synapsy między starzejącymi się neuro- nami zanikają, telomery skracają, senescen- cja, ten przekłety proces starzenia się komó- rek, nieustannie postępuje.

Coraz mocniej zaczęto więc stawiać na biotechnologie. Pieniądże płynęły szeroki- m strumieniem.

Na cele związane z radykalnym przedłu- żeniem życia ludzkiego Larry Ellison, jeden z technomagnatów i prezes Oracle’a, wyłożył do tej pory prawie 450 milionów dolarów. Larry Page, współzałożyciel Google’a, ładu- je ogromne sumy w biotechowy start-up Cali- co, który chce zwiększyć średnią długość ży- cia co najmniej o stulecie. Jeszcze ambitniej- sze cele stawia przed sobą fundacja Matuza- lema, której hojnym darczyńcą jest współ- założyciel PayPal’a i były doradca Trum- pa Peter Thiel – doprowadzenie do przelo- mu w inżynierii genetycznej, dzięki któremu będziemy żyć do 1100 lat. Do grona sponso-

rów transhumanizmu dołączył twórca Tes- li i SpaceXa Elon Musk, choć jego motywa- cje, by zespalać *Homo sapiens* z technologia- mi, są inne: nie tyle zależy mu na indywidual- nym życiu wiecznym, ile na przeżyciu *Ho- mo sapiens* jako gatunku. W jego opinii musi- my sprząć się z maszynami, bo grozi nam apokalipsa robotów i zagłada z wirtualnych rąk sztucznej inteligencji.

Sytuacja sprzyjała zatem transhumi- stycznym aktywistom, którzy uznali, że naj- wyższy czas przedrzeć się do masowej świa- domości. W 2015 r. Istvan przerobił stary au- tobus na trumnę na kółkach i ruszył wraz z kilkoma dziennikarzami w Amerykę gło- sić ewangelię nieśmiertelności jako pierw- szy kandydat na prezydenta Amerykańskiej Partii Transhumanistycznej. Zarówno po- jazd (który miał być propagandowym me- mento mori), jak i charyzmatyczny polityk budzili wszędzie entuzjazm i kontrowersje. Po tournée Istvan oznajmił, że osiągnął to, co chciał: prezydentem nie został, ale trans- humanizm trafił pod amerykańskie strze- chy.

Potem już długo nie zagrażał miejsca w szeregach partii, którą sam stworzył. „Za- częło się tam roić od komuchów” – żalił mi się po przegranych wyborach. Przez jakiś czas potem kręcił się wokół libertarian, ale jego program, jako zbyt zachowawczy, wy- śmiało wewnątrzpartyjne ugrupowanie anarchokapitalistów.

*

Amerykańska Partia Transhumanistyczna jest jednym z niewielu prawdziwie politycz- nych tworów. Wprawdzie istnieją jeszcze partie transhumanistyczne w Austrii, Niem- czech, Australii, a nawet w Indiach i Korei, jest też rosyjska Partia Długowieczności i ka- nadyjska Partia Kosmicznych Piratów, ale pełnią raczej funkcje think tanków czy też „fanklubów nieśmiertelności”, a nie kla- sycznych ugrupowań z politycznymi ce- lami. Mniej formalne ugrupowania wy- rastają za to jak grzyby po deszczu.

Również w Polsce, gdzie od paru lat działa Polskie Stowarzyszenie Transhu- manistyczne.

„Wielu z nas przeszło taką drogę jak ja: najpierw fantastyka, potem futuro- logia, wreszcie transhumanizm” – opo- wiada Kamil Muzyka, doktorant w PAN, ekspert w dziedzinie prawa górnictwa ko- smicznego. – W pewnym momencie zda- łem sobie sprawę, że o scenariuszach, które uważałem początkowo za stricte science fic- tion, niektórzy rozmawiają zupełnie na se- rio. I zaczęłam interesować się nimi od stro- ny naukowej.

Według niego transhumanizm jest jak drzewo: z rozbudowanym systemem korze- niowym i mnogością rozgałęzień. Te bie- gnące w różnych kierunkach wypustki ma- ją jeden cel: poprawę warunków ludzkiej eg- zystencji. Symbolizują jednak różne drogi i użycie różnych technologii.

– Nasza ewolucja ulegnie rozszczepieniu. Będzie przebiegać wielotorowo. Będziemy nadal ewoluować w sposób naturalny, adap- tując się do środowiska, ale będziemy też

w stanie wspomagać ten proces technolo- gicznie. Być może zaczniemy nim też spraw- nie sterować. Wreszcie przezwyciężymy ba- rriery, które nałożyła na nas biologia i eko- system – przewiduje prawnik.

I dodaje, że nie ma w tym podejściu ni- czego szokującego, bo ludzie zawsze nagi- nali otoczenie do własnych celów. Najpierw produkowali proste, następnie coraz bar- dziej skomplikowane narzędzia oraz tech- nologie, wykorzystywali inne gatunki do swoich interesów.

– Wreszcie zaczęliśmy mieć możliwość wytwarzania własnych organizmów czy też wariantów własnych organizmów meto- dą inną niż hodowla. Wiem, to śliskie etycz- nie, to majstrowanie w podwójnej heli- sie, żeby projektować „dzieci na zamówie- nie” oraz przetwarzać człowieka, ale stwier- dzam fakty.

*

Transhumanizmu nie da się zamknąć w jednej, zgrabnej definicji. To światopoglądowe „sztydło, my- dło i powidło”. Elementem spajającym jest motyw przekraczania natural- nych ba-

rier za po- mocą no- wych tech- nologii. Dlatego za transhumanistów uważają się zarówno grin- dersi, czyli „cyborgi złomowe”, w warunkach domowych wszcze- piający sobie elektronikę, by stać się ludźmi maszynami, jak i „nieśmiertelni- cy”, walczący o rozwój technologii umożli- wiających wieczne życie. Pośrodku są bio- hakerzy, którzy majstrują we własnym DNA, by przyspieszyć ewolucję. Oraz eks- tropianie, utopijnie wierzący, że postęp



we współczesnej nauce w sposób naturalny doprowadzi do zrównoważonego, ciągłego rozwoju społeczeństwa i przedłużenia życia ludzkiego ad infinitum.

Są także wyznawcy transhumanizmu jako religii, wielbiący technologie i usiłujący wypełnić nimi pustkę duchową. Przynależą do rozmaitych transhumanistycznych Kościołów: Kościoła Sztucznej Inteligencji (założonego przez Anthony'ego Levandowskiego, jednego z twórców samochodów autonomicznych), Wiernych Terasem (koncentrujących się na „personalnej cyberświadomości”), Kościoła Wiecznotrwalego Życia (głoszącego „ewangelię walki z Największą Kurwą Babilońską – Śmiercią”) oraz Chrześcijańskiego Kościoła Transhumanistycznego (desperacko próbującego połączyć Nowy Testament z cybernetyką).

Jest tam też miejsce dla nieprzyzwoicie bogatych technooptymistów, podstarzałych członków technologicznej meritokracji, gotowych przelewać bajorńskie sumy, byle tylko zachować resztki

młodości. Zdesperowani płacą po kilka tysięcy dolarów za porcję osocza wyekstrahowanego z krwi młodych chłopców. Takie usługi (oferowane przez biotechnologiczne start-upy, jak np. założona w Dolinie Krzemowej Ambrosia) są jednak coraz trudniej dostępne. Federal and Drug Administration, odpowiednik Ministerstwa Zdrowia, regulująca w USA rynek leków, ponad rok temu wydała ostrzeżenie przed takimi procedurami, uznając je za niesprawdzone i potencjalnie niebezpieczne. Podkreślono, że obiecujące badania o wpływie „młodego osocza” na zapobieganie procesom neurodegeneracyjnym, w tym parkinsonowi i alzheimrowi, były przeprowadzone wyłącznie na niewielkich, niereprezentatywnych grupach... myszy.

W Silicon Valley proceder nadal jednak kwitnie, choć już w podziemiu.

W prywatnych biedalaboratoriach, urządzonych w piwnicach i garażach entuzjastów nauki, chałupniczymi metodami próbuje się wytworzyć „szczepionki” na gnębiące ludzkość choroby: AIDS, opryszczkę narządów płciowych, malarię, a obecnie również COVID-19. Usiłuje się modyfikować ludzkie DNA za pomocą techniki molekularnej edycji genów CRISPR, by przeciwdziałać procesom starzenia się i obumierania. Tworzy się „nootropikowe koktajle”: mikstury z naturalnych suplementów lub dostępnych farmaceuty

ków, które mają pobudzić pracę mózgu, skrócić czas reakcji, zwiększyć koncentrację i kreatywność.

Doświadczeniom tego typu przyglądałam się wielokrotnie. Większość kończyła się fiaskiem, ale wszystkim towarzyszyło poczucie misji. Eksperymentowano w przekonaniu, że *Homo sapiens* zasługuje na znacznie więcej niż statystyczne 72 lata.

– Pomyśl – mówił mi Tim Cannon, założyciel cyborgicznego start-upu Grindhouse Wetware – jeszcze pół wieku żyliśmy o dwie dekady krócej, jakieś 52 lata z hakiem, jak pokazują dane ONZ, więc nie rozumiem, dlaczego uważają nas za świrów, kiedy postulujemy, że chcemy żyć nie tylko całe stulecia, ale i w nieskończoność.

Z „nieskończonością” politycy transhumanistyczni mają jednak problem. Nie sprzedaje się tak dobrze jak „radikalne przedłużenie życia”. Amerykańska Partia Transhumanistyczna zdjęła więc z banerów „immortality” i w krótkim czasie liczba członków wzrosła kilkakrotnie, przekraczając półtora tysiąca.

Ugrupowania w innych krajach też starają się już nie epatować wiecznością, stawiając na „odroczenie w czasie końca egzystencji”.

*

Z hasłem wydłużenia życia i poprawienia jego jakości wyborcy identyfikują się bez kłopotu. Marzenie o jak najdłuższym utrzymaniu sił witalnych pojawia się u zarania zapisanej historii, w eposie o pierwszym prawdziwym superbohaterze, Gilgameszu. To on, król miasta Uruk w Mezopotamii, rusza na poszukiwanie eliksiru życia. Znajduje go w końcu, w formie magicznej rośliny, na dnie morza, ale niemal natychmiast – przez nieuwagę – traci zdobycz na zawsze.

Wątek nieprzemijalnej egzystencji pojawia się w każdej mitologii. Bogowie greccy utrzymywali status nieśmiertelnych, spożywając ambrozię, przynoszoną im przez białe gołębie z ułamanego rogu obfitości kozy Amaltei. Egipskiego Tota, bóstwo stwórcę i patrona mądrości, przy wiecznym życiu utrzymywały tajemnicze białe krople, „płynne złoto duszy”. Bogini matka Ninhursag, symbol płodności, magicznym mlekiem karmiła cały panteon sumeryjskich bogów, zapewniając im przetrwanie na wieki. Kixwangmu, żona boskiego Jadeitowego Cesarza, w swoim tajemniczym ogrodzie, położonym

teki Rumiancewa rodzi się transhumanizm. Głosi go „moskiewski Sokrates”, Nikołaj Fiodorow. Swoją filozofię nazywa „Nową Paschą” i „wspólnym czynem”. Idee, które prezentuje skromny dyżurny czytelnik, są utopijne i wywrotowe, ale szybko znajdują rzesze zwolenników. Wśród nich: pisarz i autorytet moralny Lew Tolstoj oraz uczonego i twórcę kosmonautyki Konstanty Ciolkowski. Z partym tchem słuchają bibliotekarza, który zdaje się żyć wyłącznie ideą, rozdając prawie cały zarobek jeszcze biedniejszym od siebie, śpiąc na rozścielonych starych gazetach i poświęcając większość czasu.

Gdy miliardery płacą kilka tysięcy dolarów za porcję osocza z krwi młodych chłopców, w prywatnych biedalaboratoriach, w piwnicach i garażach entuzjastów próbuje się wytworzyć szczepionki na malarię i COVID-19, modyfikować ludzkie DNA za pomocą edycji genów CRISPR

Fiodorow broni się przed spisaniem swoich pomysłów, ale chce, by jego myśli zostały wcielone w życie. Wierzy w postępek, wierzy w naukę, wierzy w technologię. Wierzy też w Cerkiew i w cara, dlatego uważa, że wykonawcą jego futurystycznych scenariuszy powinien być sam Batuszka Wielkiej Rossji.

„Nasze ciało ma być naszym czynem” – powtarza, kładąc podwaliny pod pojęcie technoewolucji. Po czym tłumaczy, że świętym obowiązkiem każdego człowieka jest nie tylko staranie się, by żyć wiecznie, ale też wskrzeszenie wszystkich poprzednich pokoleń. Naszym przodkom też należy się zmartwychwstanie. Trzeba jedynie pozbiierać rozproszone prochy (mężczyźni zbierają, kobiety składają w całość).

Jego plan jest przemyślany. Co, jeśli naszą planetę zaczną nawiedzać kataklizmy naturalne? Susze, powodzie, gwałtowne zmiany klimatyczne? Co zrobimy, by wyżywić wszystkich zmartwychwstańców? Wystarczy opasać Ziemię specjalnym pierścieniem elektrycznym i dawkować elektrowstrząsy tak, by wyrównać anomalie pogodowe. A jeśli glob nie dźwignie wszystkich Ziemiaków? Jeśli zabraknie powierzchni? Żaden kłopot, na ród ludzki czekają już inne ciała niebieskie. Wystarczy zagospodarować kosmos.

Wyznawcy kosmizmu przez następne dekady będą intensywnie propagować jego idee. Ale wraz z wybuchem rewolucji nikt nie będzie miał już głowy do wskrzeszenia pradziadków. Bolszewicy nie darzą życia ludzkiego nadmierną estymą. Współcześni zaczną ginąć setkami tysięcy. Idea zamiera. Gdy w Moskwie staruszek Fiodorow tłumaczy zawilości powszechnego zmartwychwstania, w Paryżu starzejący się Charles-Edouard Brown-Séquard walczy z własną ułomnością. Nie zamierza pogodzić się ze słabością, z faktem, że nie ma już siły pracować 18 godzin na dobę, że nie potrafi stawiać czoła projektom naukowym z równą energią co kiedyś.

Sprawdza na sobie skuteczność kolejnych „eliksirów młodości”. Nie boi się, znany jest z samobójczej niemalże odwagi w eksperymentach. Kilkanaście lat wcześniej asystenci profesora w ostatniej chwili uratowali mu życie. Był nieprzytomny i nagi, całą jego skórę pokrywał lakier do podłogi. Brown-Séquard chciał udowodnić, że powłoki skórne pełnią nie tylko funkcję ochronną, ale też służą oddychaniu i wspomagananiu wydzielania dokrewnego. „Ojciec współczesnej endokrynologii” przeżył tylko dzięki

gdzieś

w odległym zakątku

Chin, hodowała brzoskwi-

nie nieśmiertelności.

Przekonanie, że w każdym micie jest odrobina prawdy i możliwe jest wynalezienie substancji lub opracowanie technologii, która wyeliminuje śmierć, towarzyszy transhumanistycznej myśli od początku.

A początek przypada na połowę XIX wieku. W dusznych, zakurzonych salach biblio-



FOT. EAST NEWS

⊗ błyskawicznej reakcji studentów, którzy zaczęli zdrapywać zaschniętą warstwę lakieru papierem ściernym.

Teraz doświadczenia trwają miesiącami. W końcu ogłoszona zostaje konferencja. 72-latek podnosi hantle (jak twierdzi, o kilka kilogramów cięższe niż parę tygodni wcześniej), chwali się wzrostem libido, regularnością wypróżnień i siłą strumienia moczu, który „jest o 25 procent dłuższy niż uprzednio”.

Wszystko dzięki zastrzykom z „życiodajnego soku” spreparowanemu z jąder młodych psów i świnek morskich. Środowisko medyczne nie zostawia na Brown-Séquardzie suchej nitki, ale maszyna marketingowa już rusza. Na rynku zaczynają pojawiać się wyciągi z narządów płciowych rozmaitych zwierząt. Najdłuższą popularnością cieszy się sperminal: „sperma, cielece serce i jagnięca wątroba, jądra byka oraz kilka macerowanych w alkoholu rodzajów tkanki zwierzęcej”.

Iniekcje nie przynoszą jednak długotrwałych rezultatów.

*

Minęło stulecie i kosmiczne wizje Fiodorowa oraz hormonalne kuracje Brown-Séquarda wracają do łask.

Transhumaniści postulat powszechnego wskrzeszania zmarłych rozwijają w formie archeologii kwantowej. To koncepcja, w myśl której z odrobiny DNA można odtworzyć na drukarce 3D całego człowieka, od pojedynczych neuronów po komórki naskórka. Zaś pomysły hormonalnego odmładzania organizmu wprowadzają w życie podczas eksperymentów biohakerskich.

Większość doświadczeń ma miejsce w Dolinie Krzemowej, która uważana jest za stolicę transhumanizmu.

–I tak powinno pozostać. Stany Zjednoczone muszą utrzymać hegemonię, bo in-

czej wkroczą Chiny i będziemy mieli transhumanizm autorytarny, a nie wolnościowy – podkreśla w wywiadach David Pearce, współzałożyciel pierwszej światowej organizacji transhumanistycznej. I zauważa, że czasy się zmieniły. Od momentu, gdy wymyślił Humanity+, minęły cywilizacyjne lata świetlne. W 1998 r. dopiero w pocie czoła odcyfrowywano ludzki genom. Dziś dzieciaki w szkole średniej poznają tajniki edytowania genów dzięki CRISPR.

Transhumanizm się upolitycznił. Ale w końcu – dodaje Pearce – trzeba grać twarde, jeśli chce się żyć wiecznie.

– To nie będzie gra, to będzie wojna, i my, Generacja Z, znajdziemy się w samym jej środku! – emocjonuje się Jeremy. – Jeśli postkapitalizm nie zdechnie i nie wykluje się nowy, bardziej egalitarny system, to transhumanizm będzie gwoździem do trumny demokracji. Będziemy mieć klasę nadzianych cyberpanów i cherlawych technoamizów, którzy będą czekać, aż im jakieś technologiczne okrucy spadną z pańskiego stołu.

Chłopak rzuca kością. Jest dobrze, znów udało się przeżyć. Grupa studentów nauk politycznych Uniwersytetu Kalifornijskiego gra w „Dungeons and Dragons”.

– Po naszych trupach ten transhumanizm! – unosi głos Xi. Pochodzi z Chin.

– Sam zaczytuję się w xiuzhen, ten gatunek powieści o drodze do nieśmiertelności jest megapopularny, mamy hyzja na punkcie transhumanistycznej literatury, ale wystarczy spojrzeć na mój kraj, żeby się odechciało człowiekowi technoewolucji.

Rząd Chińskiej Republiki Ludowej do transhumanistycznych technologii podchodzi z pragmatyczną brawurą. Od trzech lat wyposaża wojsko i państwowe fabryki w kaski z sensorami pozwalającymi odczytywać rudymtarne fale mózgowe. Oficjalnie, by zorientować się w stanie emocjonalnym pracownika i odpowiednio nim zarządzać,

by się nie przemęczał; nieoficjalnie chodzi o coraz pełniejszą kontrolę nad społeczeństwem. Kaski są zawodne, reagują na zakłócenia pola elektrycznego z zewnątrz, ale zarząd jednej z największych chińskich korporacji Hangzhou Zhongheng Electric już odtrąbił sukces eksperymentu i zapowiedział pełniejsze wdrożenie.

Podobnie niefrasobliwie Chińczycy traktują eksperymenty genetyczne. Dwa lata temu świat zszokowała wieść, że poddali bioinżynieryjnym zabiegom dwa ludzkie zarodki, by uodpornić je na wirusa HIV. He Jiankui, naukowiec odpowiedzialny za projekt, bagatelizował kwestie etyczne jako „ogólne wskazówki” i „teoretyczne zalecenia”. Zaproponował, że inni chińscy uczeni do problemu podchodzą tak samo.

– Idziemy w stronę dystopii. Będzie jak w klasycznych cyberpunkowych filmach: biedny, mimowolny cyborg i wszechmogąca korporacja – krzywi się Xi. – Żaden transhumanizm, babe! Cyberpunk! ●

Właśnie ukazała się książka Magdy Gacyk „Zabawy w Boga. Ludzie o magnetycznych palcach”. Książka do kupienia w Kulturalnym Sklepie i w formie cyfrowej w Publio.pl



Adam Asnyk, z wiersza „Do młodych”



FOT. WIKIPEDIA

*„Ale nie depreczcie
przeszłości oltarzy,
Choć macie sami
doskonalsze wznieść:
Na nich się jeszcze święty
ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wywiniecie im cześć!”*

Kalendarz przyrodniczy ze zdjęciami Adama Wajraka

w prezencie z prenumeratą **Wyborcza.pl**



Zamów z dostawą
do domu na
**wyborcza.pl/
kalendarzwajraka**

wyborcza.pl

PRZYWYKNIEMY

Aplikacje śledzące kontakty, inwigilacja, drony – to wszystko z nami zostanie

Z KAMIEM MAMAKIEM* ROZMAWIA
VADIM MAKARENKO

ADIM MAKARENKO: W Singapurze w ramach testów park patrolują roboty. Widział pan zdjęcia tych maszyn?

KAMIL MAMAK: Trochę z przerażeniem to obserwowałem.

Nasze pierwsze odczucia są takie, że to obrzydliwe. Te maszyny przypominają zwierzęta, ale trudno powiedzieć, co to właściwie jest. A czym są z perspektywy prawnej?

– Takie widoki kojarzą się z obrazkami ze świata popkultury. Ten przypomina jeden z odcinków „Black Mirror”, w którym podobny do psa robot próbował zniszczyć wszystkie żywe istoty w okolicy. Może powinniśmy – mimo tego przerażenia – bardziej się z tym oswoić. Może bardziej powinniśmy się obawiać tych technologii, których nie widzimy, a które mamy w naszym telefonie? Bo sytuacja z robotami jest uczciwa. Kiedy mamy do czynienia z takim robotem w parku, to przynajmniej jesteśmy świadomi tego, że ktoś nas obserwuje, podsłuchuje albo wydaje nam polecenia. To, co mamy w telefonach, same mechanizmy oraz to, jak kształtują nasze zachowania, nie jest do końca przez nas poznane.

A co jeśli taki robot nas skrzywdzi?

– Odpowiedzialność karna jest oparta na zasadzie winy: komuś zarzucamy, że zrobił coś złego, ale miał możliwość wyboru czegoś innego. Zatem dopóki roboty nie są podmiotami moralnymi, które rozróżniają dobro od zła, to nie mogą odpowiadać karnie.

Za zachowania robotów może odpowiadać operator czy osoba, która je uruchomiła. Tylko znowu, musimy zakładać, że zachowanie robota było dla nich przewidywalne. Część prawników pisze wprost, że w przypadku bardzo zaawansowanych robotów mamy lukę w odpowiedzialności karnej i tak naprawdę nikt nie będzie odpowiadał karnie za działania tych maszyn.

Oczywiście odpowiedzialności cywilna za szkody może dotyczyć producenta. Ale odpowiedzialność karna nie działa.

A władze miasta, które wprowadziły te roboty?

– O ile potrafimy udowodnić, że krzywda dała się przewidzieć. Gdyby doszło do jakiegoś „buntu maszyn” i roboty zaczęły się zachować w sposób nieprzewidywalny, to nie można nikomu postawić zarzutu.

Wyobrażam sobie, że w firmie produkującej roboty siedzą programiści, którzy montują – dla żartu – tzw. jaja wielkanocne. Tak jak w firmach produkujących gry. Co gdyby programista zaprogramował robota, żeby słysząc przekleństwo, podbiegał do człowieka i raził prądem?

– Jeżeli wykorzystamy robota, żeby coś takiego robił, no to istnieje odpowiedzialność osoby, która coś takiego wymyśliła.

Spółeczeństwo jest skłonne do zwiększenia poczucia bezpieczeństwa kosztem prywatności. Nie widać masowego sprzeciwu wobec aplikacji monitorujących kontakty albo patrolowania parków przez drony. Niepokoi to pana?

– Bardziej mnie niepokoi brak uczciwości osób czy podmiotów, które wprowadzają te regulacje. Władza – nie tylko w Polsce – tu-



FOT. ROSLIAN RAHMAN/EAST NEWS

maczy je troską o nasze bezpieczeństwo. Wówczas trochę głupio próbować protestować, ale to jednak przerażające, że pozbawimy się wielu innych wartości, które są dla nas ważne. Przecież bezpieczeństwo nie jest ostateczną wartością. No i prawo i wszystkie te mechanizmy społeczne nie zapewnią stu procentowego bezpieczeństwa.

Już teraz moglibyśmy bez problemu zwiększyć bezpieczeństwo. Gdybyśmy nagłe zakazali ruchu samochodowego albo powiedzieli, że samochody mogą poruszać się z prędkością 5 km na godzinę, z dnia na dzień zlikwidowalibyśmy większość wypadków. To pokazuje, że bezpieczeństwo nie jest nadrzędną wartością, w obliczu której wszystkie inne chowają się na dalszy plan. Musimy to jakoś wyważyć.

W pandemii stało się wartością nadrzędną. Ludzie mówią: „A dlaczego 200 osób bawiących się w łódzkim klubie nie zostało namierzonych już następnego dnia, skoro wiemy, że były tam dwie osoby zakażone? Mieli przy sobie komórki. Dlaczego nie przyszła do nich policja?”

– Panuje zbiorowa psychoza. Gdybyśmy pomyśleli racjonalnie, reakcje nie byłyby tak nerwowe. Mamy do czynienia z tzw. efektem ofiary zidentyfikowanej. Widzimy rzeczy, które teraz się dzieją, widzimy osoby, które cierpią tu i teraz, i nie myślimy o konsekwencjach dziś podejmowanych działań dla przyszłości. Jeżeli wprowadzamy ograniczenia, np. zamykamy przychodnie, to w przyszłości jeszcze więcej osób umrze, bo ludzie, którzy powinni się diagnozować, do tych przychodni nie przyjdą. Zamknięte są szpitale, w których były planowane operacje ratujące życie. Część ludzi z lekceważeniem podchodzi do obostrzeń, ale dzięki temu przynajmniej tworzy się jakaś przestrzeń do bardziej racjonalnego myślenia.

Nie cichnie dyskusja na temat tzw. modelu szwedzkiego. Władze Szwecji najwyraźniej uznały, że koszty bezrobocia, izolacji, powszechnych bankructw są równie istotne, co ratowanie życia obywateli.

– To można porównać do dyskusji z przeciwnikami szczepionek. Z jednej strony mamy

eksperta, a z drugiej – rodzica, którego dziecko po zaszczepieniu miało jakąś nieoczekiwaną reakcję. Skupiamy się emocjonalnie na osobie, która płacze, a nie myślimy o tym, co dzięki powszechnemu szczepieniu społeczeństwo zyskuje. O wszystkich innych ludziach, którzy są zdrowi. To ciężka dyskusja, bo z jednej strony mamy chłodnych ekspertów, którzy mówią liczbami, a z drugiej – emocje.

A kiedy minie poczucie zagrożenia, będziemy w stanie poddać skutecznej kontroli te wszystkie narzędzia inwigilacji, które zostały wprowadzone na początku pandemii: drony, roboty w parkach, aplikacje śledzące nasze kontakty?

– Nie. Będziemy uważać, że to element naszego życia codziennego. Kilka lat temu, przed szczytem NATO w Warszawie i Światowymi Dniami Młodzieży w Krakowie, wprowadzono pewien pakiet regulacji. Jedną z nich była konieczność – tak twierdzili ich twórcy – rejestrowania kart prepaid ze względów bezpieczeństwa. I co? Ograniczenie zostało do tej pory, przyzwyczajaliśmy się. Tak krok po kroku władza odbiera nam nasze wolności, a większość ludzi przywyka. I nie jesteśmy w stanie nic zrobić.

Niels Bohr, fizyk atomista



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Przewidywanie jest bardzo trudne, szczególnie jeśli idzie o przyszłość”

Pan postulował powołanie instytucji, które zaprojektują jakieś rozwiązania.

– To też umiarkowanie skuteczne, bo działa na zasadzie siły autorytetu. Ale w Polsce na razie brak w ogóle takiej zinstytucjonalizowanej siły, która by mówiła o tym, jakie są zagrożenia związane z nowymi technologiami – ale też zmianami klimatu – i jak to powinno wpływać na legislację. Nie ma zespołu ekspertów, który miałby posłuch, przynajmniej w mediach, i w ten sposób wpływał na klasę polityczną. Na razie głosy są rozproszone, skupione wokół różnych NGO-sów.

Na ile lockdown jest w prawie karnym stanem wyjątkowym? Czy prawo inaczej będzie traktowało przestępstwa popełnione w pandemii?

– Można powiedzieć, że prawo karne jest pomyślane tylko i wyłącznie na stany nadzwyczajne. Samo przestępstwo – jako odprysk zachowania społecznego – jest czymś zupełnie wyjątkowym i dziwnym. Większość ludzi nie styka się z przestępczością na co dzień, więc prawo karne nie potrzebuje wielkiej reformy w związku z pandemicznymi sytuacjami. Większy problem to populizm, przez który np. stosuje się areszt w sytuacjach, w których się nie powinno, żeby pokazać, jak prawo jest skuteczne.

Areszt stosuje się po to, żeby zabezpieczyć tok postępowania karnego. Jeżeli wszystkie informacje dotyczące przestępstwa są dostępne, to osoba podejrzana powinna czekać na proces na wolności. Tymczasem dziś, jeśli ktoś naruszył reguły kwarantanny i naraził innych na niebezpieczeństwo, to zdarzało się, że prokuratura wnioskowała o areszt. Choć to bezsensowne z punktu widzenia tego, po co areszty wymyślono.

Czyli nie samo prawo, lecz raczej jego stosowanie w wyjątkowych warunkach może być problemem.

– Tak. Prawo karne ma bardzo duże obostrzenia. Konstytucja ogranicza pewnego rodzaju sposoby zachowania władzy w stosunku do obywateli. Dlatego władza próbuje wtłoczyć prawo karne w jakieś inne przepisy. Absurdem jest np. włączenie w proces karania sanepidu. Wydawanie przez niego kar jest ukrywaniem odpowiedzialności karnej pod płaszczykiem odpowiedzialności administracyjnej, co jest nieakceptowalne i niekonstytucyjne. Tylko nie ma obecnie organu, który mógłby to stwierdzić.

Czyli wyjdziemy z pandemii jako społeczeństwo bardziej inwigilowane, ze zmniejszoną ochroną prywatności obywateli.

– Kwestie związane z ograniczeniem wolności to trend ogólnosiwiatowy i ciężko mi sobie wyobrazić, że nawet całkowicie zmieniona władza porzuci chęć kontrolowania społeczeństwa za pomocą technologii. ●

Rozmowy Vadima Makarenki z Kamilem Mamakiem możesz wysłuchać tutaj:
<https://wyborcza.pl/podcast/0,172673.html?podcast=90717>

Dr hab. Kamil Mamak

• pracuje w Katedrze Prawa Karnego UJ, autor książki „Prawo karne przyszłości”

Kasper Kalinowski

Od wiosny częściej niż innych ludzi dotykamy smartfonów i klawiatur. Zapłacimy za to wysoką cenę

*

Dotyk to pierwszy ze zmysłów, jaki wykształca się w okresie prenatalnym. Pierwszy, jakim poznajemy otoczenie. Jako pierwszy osiąga dojrzałość – zanim ukształtują się pozostałe, za pomocą dotyku świat na nas wpływa. To dotykowi zawdzięczamy postrzeganie siebie jako odrębnych od otoczenia obiektów fizycznych.

Noworodki Homo sapiens są bezbronni i wymagają zaskakująco długiej jak na standardy ssaków opieki dorosłych. A nie ma opieki bez dotyku. Kto miał przyjemność opiekować się małym Homo sapiens, wie, czym jest przewijanie zabawy z niemowlakami. Dotyk w przypadku wszystkich małych, w tym ludzi, kształtuje wzorce przywiązania do opiekunów.

My, ludzie, dotykamy się w najbardziej wyrafinowany sposób na planecie. Dłoń to wielkie osiągnięcie inżynierii ewolucyjnej. To dzięki dłoniom, nie słowom, wpływamy na otoczenie. Jeśli ktoś nie wierzy, może przeprowadzić w domu eksperyment. Wystarczy niezmywalne markery, świeżo pomalowane ściany i grupa czterolatków.

Zapisanie w uniwersalnym języku przyrody – języku matematyki – najprostszych czynności motorycznych, jakie wykonujemy codziennie, jak naciśnięcie klawiszki czy nalanie wody do szklanki, jest niezwykle trudne. To czynności, z którymi w 2020 roku wciąż nie radzą sobie roboty.

Pierwszy zmysł człowieka będzie jedynym z ostatnich, który podda się wpływowi technologii. Kolonizacja Marsa może wyprzedzić pełne symulowanie doznań dotykowych czy stworzenie robotów wyposażonych w zmysł dotyku.

*

Wyobraźmy sobie ropiejące rany. Takie obrazy generują uniwersalną reakcję wstępu patogennego (jeden z podstawowych oprócz moralnego i seksualnego rodzajów wstępu). I poza naszą świadomą kontrolą aktywują odpowiedź układu immunologicznego. Z perspektywy ewolucyjnej ma to sens. Dotyk niesie o wiele większe ryzyko zakażenia niż pozostałe zmysły.

Dlatego jak żaden z pozostałych zmysłów wpływa na kształt tabu kulturowego. W kulturze judeochrześcijańskiej zakazywano dotykania kobiet w okresie menstruacji. Księżka Kaplańska: „Jeżeli kto obcuje cielesnie z kobietą mającą miesięczne krwawienie i odsłoni jej nagość, obnaża źródło jej krwi, a ona też odsłoni źródło swojej krwi, to oboje będą wyłączeni spośród swojego ludu”. O roli dotyku w życiu społecznym wiele mówi potoczne określenie na najniższą kastę w Indiach „nietykalni”.

W naszej przestrzeni dotyk już dawno przestał się kojarzyć z czymś jednoznacznie pozytywnym. Najpierw sprawy o molestowanie, które sprawiły, że kościoły opustoszały. Potem wpływa przestępca seksualny i producent filmowy Harvey Weinstein. Od czasu #MeToo na niektórych uniwersytetach można przyjmować studentów tylko przy otwartych drzwiach. Coraz częściej obawiamy się dotykać innych, szczególnie jeśli są to dzieci lub nasi podwładni.

Osiem lat po #MeToo nadchodzi COVID-19, który skutecznie aktywuje mechanizmy wstępu patogennego. Dystans społeczny to najskuteczniejsze lekarstwo. Jednak jak każdy lek niesie skutki uboczne.

*

Większość życia społecznego u małych wypełniają zabiegi iskania, czyli czyszczenie



Rece przy sobie

Prędzej skolonizujemy Marsa, niż wyposażymy robota w zmysł dotyku

futer towarzyszy. Nie chodzi tylko o higienę. Dotyk to uniwersalny „klej społeczny”. W przypadku dżelad, które 17 proc. czasu wolnego spędzają na iskaniu, zabiegi higieniczne to jedynie 1 proc. czasu. Reszta to podtrzymywanie więzi. Iskanie to podstawowe narzędzie interakcji. U naszych małpich kuzynów wiąże się m.in. z wydzieleniem łączących ból endorfin.

*

Dorośli Homo sapiens na ogół „dotykają się” za pomocą słów, które zastąpiły nam iskanie. Zgodnie z wpływową, choć krytykowaną ostatnio hipotezą Robina Dunbara, psychologa ewolucyjnego z Oksfordu, język Homo sapiens wyłonił się jako adaptacja do zadań społecznych. Przy tak dużych grupach, jakie tworzą ludzie, trzeba było wypracować inne mechanizmy utrzymujące grupę niż iskanie, na które po prostu nie starczyłoby nam czasu.

Co się dzieje, gdy zostajemy pozbawieni dotyku?

Eksperyment Harry’ego Harlowa to jeden z tych, o których studenci psychologii dowiadują się już na pierwszym roku. Dziś jego badania określilibyśmy jako zniechanie się nad zwierzętami. Nie zmienia to faktu, że Harlow pomógł udowodnić kluczową rolę dotyku. W głośnym eksperymencie odseparowano niemowlęta reżusów od ich mam. Miały je zastąpić atrapy opiekunki. Jedną „mamę” zbudowano z drutu, drugą z tkaniny frotté. Małpki spędzały znacznie więcej czasu z matką z frotté niż z matką z drutów. Kiedy drucziana matka miała jedzenie, niemowlęta przychodziły, aby się pożywić, ale natychmiast wracały do „mamy” z tkaniny. To ją wolały przytulać.

„Opieka” surogatek miała dramatyczne konsekwencje w życiu dorosłym. Małpy były bardziej nieśmiałe, jako osobniki dorosłe niezbyt chętnie kojarzyły się w pary, samice okazały się gorszymi matkami.

U ludzi dotyk odgrywa równie istotną rolę. Nad brakiem zainteresowania badaczy ubolewał już w latach 70. Ashley Montagu w książce „Touching: The Human Significance of the Skin”. „Dotyk jest dziesięć razy silniejszy niż kontakt werbalny czy emocjonalny, i ma to cholerny wpływ na niemal wszystko, co robimy. Zapominamy o tym, że dotyk jest nie tylko czymś podstawowym dla naszego gatunku, ale również kluczem do jego zrozumienia” – grzmiał.

Odpowiednikiem druczianych surogatek są m.in. historie dzieci wychowanych w sierocińcach w pierwszej połowie XX w. Podobnie jak u reżusów zaspokajano ich potrzeby fizjologiczne. Dzieci nie umierały z głodu. Jednak niewiele poza tym. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu o zabawach z nimi (a więc i o dotyku) nie myślano.

Najbardziej wstrząsające są przypadki dzieci z sierocińców w Rumunii, które po raz pierwszy opisał psychiatra René Spitz. Fatalne warunki trafiły do opinii publicznej na Zachodzie dopiero po 1989 r., kiedy upadł Ceaușescu. W latach 90. skłoniło to tysiące ludzi z krajów zachodnich do adopcji zaniedbanych dzieci. Jak różniły się dzieci z Rumunii od swoich rówieśników?

Strat w większości przypadków nie dało się zrekomensować opieką i lepszymi warunkami. Dzieci z sierocińców w dorosłym życiu cechowała większa impulsywność, liczne deficyty w funkcjonowaniu uwagi czy problemy w relacjach społecznych. Im wcześniejsza adopcja, tym mniejsze były negatywne skutki.

Nie tylko brak opieki rodzicielskiej, ale również jej jakość wpływa na dzieci. Psycholodzy na początku XXI w. zaobserwowali, że niemowlaki, których mamy chorowały na depresję, częściej niż dzieci zdrowych mam dotykały same siebie. Tak kompensowały sobie brak rodzicielskiego dotyku.

Rumuńskie sierocińce nie są najbardziej ekstremalnym przypadkiem bra-

ku dotyku. Gdy Wojciech Tochman zbierał materiały do książki „Pianie kogutów, płacz psów”, jedną z rzeczy, która najbardziej uderzyła go w Kambodży, kraju największego (w stosunku do liczby mieszkańców) ludobójstwa XX wieku, był brak dotyku.

„Przed Kambodżą nie zwracałem uwagi na to, jak powszechny jest dotyk w naszej kulturze. Dopiero tam uderzył mnie ten kontrast: w przestrzeni publicznej Khmerzy właściwie się nie dotykają. Także bliscy sobie ludzie” – mówił. To cenna, jaką za reżim Czerwonych Khmerów mieszkańcy Kambodży płacą do dziś. Nie tylko przestali sobie ufać, ale przestali się również dotykać. Blizna po Pol Pocie wciąż uwiera.

*

Cechą, która odróżnia dotyk od pozostałych zmysłów, jest wzajemność. Można kogoś wachać czy obserwować bez jego wiedzy, z dotykiem to niemożliwe. Częstotliwość dotykania innych różni się w zależności od okresu historycznego czy szerokości geograficznej. Każdy może przeprowadzić prosty eksperyment: spróbujmy ucałować w policzek na przywitaniu Fina lub Japończyka, potem zróbmy to samo we Włoszech czy Francji.

W latach 60. obserwowano, jak często w ciągu godziny dotykają się pary w kawiarniach. Rekordzistą było Portoryko – w ciągu godziny pary dotykały się tam średnio 180 razy. W deszczowym Londynie średnia wyniosła zero.

*

Nie doceniamy wpływu dotyku na nasze decyzje. Dotykanie innych może ułatwić spełnienie naszych prośb. Wykazał to Nicolas Guéguen z Université Bretagne Sud. Bez wątpliwości Guéguen znajduje



FOT. GETTY IMAGES

kryć psychologów ryzykujesz, że będziemy żyć w ubóstwie”.

Jeśli koniecznie chcemy przekonywać za pomocą dotyku, musimy to robić rozważnie. Gdyby w powyższych eksperymentach dotykano twarzy studentów bądź kierowców, efekt byłby odwrotny. Jak dowiodły Josephine Lee i Laura Guerrero, dotykanie twarzy wiąże się ze szczególnym nasileniem emocji i postrzegane jest po prostu jako flirt. Podobnie z okolicami talii. Za najbardziej neutralną i sformalizowaną formę dotyku uznajemy uścisk dłoni.

I najbardziej lubimy ten pewny. Taki uścisk zwiększa szansę na pomyślny przebieg rozmowy kwalifikacyjnej. A jeśli bardzo zależy nam na pracy, warto przesłać CV z twardą podkładką. W jednym z badań zespołu Joshuy Ackermana, psychologa z Harvardu, połowa badanych oceniała CV kandydata, trzymając ciężką podkładkę (2041,2 g), a druga lekką (340,2 g). Kandydat wypadł lepiej w oczach pierwszej grupy.

Są w życiu sytuacje, w których posiadanie partnera się przydaje. Na przykład kiedy bierzemy udział w eksperymencie badającym wpływ drugiej osoby na odczuwanie bólu. Pavel Goldstein z Uniwersytetu w Hajfie zaobserwował, że kobiety w jego laboratorium odczuwały mniejszy ból, gdy za rękę trzymał je ich partner. Dotyk obcej osoby nie miał żadnego znaczenia. Jednym z najważniejszych czynników łagodzących okazał się poziom empatii partnera. Pewnie dlatego 60 proc. kobiet w Wielkiej Brytanii, które rodziły w towarzystwie partnera, stwierdziło, że jego obecność i dotyk łagodziły trudy porodu.

Partner przydaje się również, kiedy odczuwamy stres przed wystąpieniami publicznymi. W jednym z badań wystarczyło, że partner trzymał za rękę i przytulał przyszłego mówcę przez 20 sekund. Podczas wystąpienia ciśnienie krwi było niższe niż w grupie kontrolnej.

Posiadanie partnera oraz jego dotyk zmieniają poziom hormonów. Żonaci mężczyźni wykazują niższy poziom testosteronu, co w ogólnym rozrachunku wychodzi im na zdrowie, bo statystycznie żyją dłużej. Mimo że rozwód podnosi poziom testosteronu, to ogólny wpływ rozstania na aktywność układu sercowo-naczyniowego pozostaje negatywny. W popularnej skali stresu wydarzeń życiowych rozwód jest na drugim miejscu, tuż za śmiercią współmałżonka.

Zdaniem jednej z wiodących postaci w badaniach nad dotykiem, Tiffany Field, psycholog z Uniwersytetu w Miami, najsukcesowniej formą dotyku jest masaż. Jest kojarzony tradycyjnie z redukcją bólu oraz zabiegami fizjoterapeutycznymi, ma jednak znacznie szersze zastosowanie. Najnowsze badania wskazują, że pomaga w depresji, astmie, łagodzi stres w pracy, a nawet przebieg choroby nowotworowej. Pacjenci choroby onkologicznej, którym zaaplikowano sześć półgodzinnych sesji masażu, raportowali mniejszy poziom bólu oraz poprawę nastroju. W USA niektóre kliniki leczące nowotwory wprowadziły masaż do standardowego leczenia.

Wiele pozytywnych efektów związanych z interakcjami z innymi ludźmi, jak dobre samopoczucie czy redukcja stresu, jest powiązanych z oksytocyną. Zwana hormonem bliskości lub miłości uspokaja i odgrywa kluczową rolę w relacjach. Jej poziom rośnie w przypadku karmienia dziecka piersią lub gdy mamy dotykają skóry własnych dzieci. Obie płcie oksytocynę mają więcej podczas zarówno miłosnych zbliżeń, jak i przyjacielskich uścisków. Jeśli nie mamy ani partnera, ani przyjaciela, też możemy podnieść sobie poziom oksytocy-

Ludzie, którzy zostali dotknięci, czuli się bezpieczniej i podejmowali większe ryzyko finansowe. Jednak tylko wtedy, gdy dotykała ich kobieta

ny. Według ustaleń naukowców nawet głaskanie psa jest pomocne.

Na psychologicznej potrzebie dotyku zrabiają nie tylko masażyści i naukowcy. Złożoność doświadczenia dotyku to wyzwanie dla specjalistów od najnowszych technologii określanych „technologią haptyczną”. Jeśli chcemy mieć pewność, że nasz zawód nie zdezaktualizuje się w przyszłości, powinniśmy się zająć właśnie nią.

Specjaliści prognozują, że w 2022 r. sektor „technologii haptycznych” będzie wart 20 miliardów dolarów. Prymitywnej formy technologii haptycznej zaznał każdy posiadacz konsoli do gier z wibrującym padem. Kto nie strzelał decydującego karnego, nie docenił dramaturgii, jakiej dodaje wibracja padu.

Dotyk pozostaje podstawową luką w komunikacji na odległość. Rozmawiając przez Skype’a czy Zooma, wciąż tęsknimy za drugą osobą. Nie widzimy sylwetki. Nie czujemy zapachu. To nie wina programistów. Takimi skonstruowała nas ewolucja.

Doznania dotykowe na odległość to cel wielu start-upów. Ale mimo że pierwszą „koszulkę przytulającą” opracowano już w 2006 r., a „Time” uznał ją za jeden z wynalazków roku, „Hug-Shirt” dobrze pokazuje przepaść, jaka dzieli nas od symulowania dotyku drugiego człowieka. Jej działanie sprowadzało się do zestawu czujników, które odtwarzały siłę nacisku, temperaturę czy rytm bicia serca drugiej osoby.

Na razie jedną z lepszych symulacji dotyku w zasięgu portfela przeciętnego człowieka pozostają... elektroniczne bransoletki. Kosztują około 100 dolarów, można je spersonalizować, a producent zachwala, że „pomagają utrzymać więzi”. Sprowadza się do tego, że czasem święcą lub wibrują, co ma symulować dotyk partnera.

Nieprzekładalne na język mówiony doświadczenia fizycznego dotyku i bliskości z drugą osobą to jedno z piękniejszych doświadczeń w życiu – uważa Laura Crucianelli. I jedno z ostatnich, które nieprędko zostanie scyfryzowane. Bo czym jest właściwie dotyk? To zbiorcze pojęcie, pod którym rozumiemy własne odczucia związane z całą masą procesów, jak odbiór różnego rodzaju informacji przez receptory, zmiany w układzie sercowo-naczyniowym lub temperaturze ciała, odczucia bólu i przyjemności, które wynikają z konkretnej pozycji stawów, napięcia mięśniowego czy specyficznego rodzaju ruchów (czym innym jest przecież głaskanie, a czym innym laskotanie).

Skoro współczesne roboty nie potrafią otworzyć drzwi, bo dość skutecznie powstrzymuje je klamka, to jak mają zbliżyć się do umiejętności Homo sapiens w dotykaniu innych?

Nawet najbardziej wyrafinowanego z nich nie pokrywa coś, co w swej złożoności jest chociaż podobne do ludzkiej skóry. A skóra to drugi po mózgu „organ społeczny” Homo sapiens. Największy z naszych receptorów; przeciętny dorosły mężczyzna ma 18 tys. centymetrów kwadratowych skóry, to 16-18 proc. wagi całego ciała. Próby stworzenia sztucznej skóry są podejmowane, ale wciąż nie mogą się równać z ludzką skórą (która oprócz funkcji dotyku wydziela m.in. sygnały semiochemiczne).

Zdaniem Chiary Bartolozzi, która projektuje roboty we włoskim Fondazione Istituto Italiano di Tecnologia, na maszyny wyposażone w zmysł dotyku jeszcze poczekamy. I dobrze. Relacje społeczne z innymi Homo sapiens w 2020 r. i tak chyba odbiegają od trudnego do zdefiniowania pojęcia, które psychologowie określiliby mianem „normy”. Oczywiście, nie można niczego wykluczyć, wszak dziś przeciętne gospodarstwo domowe dysponuje większą mocą obliczeniową niż komputery, które obsługiwały pierwszy załogowy lot na Księżyc.

Ale na razie zdaje się, że wyposażeni w najnowsze technologie i wspierani przez setki inżynierów pierwsi ludzie na Marsie będą tęsknić za tym samym, co ludzie na kwarantannie – dotykiem drugiego człowieka. ●

Horacy, z pieśni „Do Leukonoe”,

przeł. Adam Wajzyk



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Weselać się dziś, nie dowieść przyszłości”

się w tej nielicznej grupie ludzi, która musi czerpać dużo frajdy z pracy. Przez to jego eksperymenty czasami balansują na granicy dobrego smaku i „Monty Pythona”. W przeszłości zdarzało mu się badać wpływ rozmiaru biustu na złapanie stopa czy fazy cyklu owulacyjnego na makiż, jaki wykonują kobiety. Niestety, wykazano mu fałszowanie danych w niektórych publikacjach.

W badaniu z 2004 r. przyjrzał się wpływowi dotyku na jeden z najmniej lubianych przez studentów psychologii przedmiotów – statystykę. Według jego ustaleń studenci, którzy byli podczas zajęć dotykani w ramię, częściej demonstrowali rozwiązanie zadania na tablicy kolegom.

Guéguen rozwiązał też problem darmowego transportu. Na przykładzie 80 kierowców autobusów dowiódł, że w przypadku braku pieniędzy na bilet w negocjacjach bardzo pomagało dotknięcie kierowcy. W innych podobnych badaniach dotknięcie zwiększało szansę, że obca osoba poczęstuje nas papierosem. Efekt dotyku psychologowie określają „efektem Midasa”.

Dotyk działa w mniejszym stopniu na mężczyzn. Różnice między płciowe w percepcji i wpływie dotyku na podejmowane decyzje to temat na oddzielną karierę akademicką. Dziesięć lat temu udowodniono np., że ludzie, którzy zostali dotknięci, czuli się bezpieczniej i podejmowali większe ryzyko finansowe. Jednak tylko wtedy, gdy dotykała ich kobieta. Efekt był silniejszy w przypadku dotknięcia pleców niż uścisku dłoni, ale zanikał całkowicie u uczestników, którzy zostali dotknięci przez mężczyznę.

To może być jakaś wskazówka przy planowaniu inwestycji. „Kochanie, nie dotykaj mnie. W świetle najnowszych od-

MUSISZ ZDAĆ TYLKO JEDEN EGZAMIN

Jak w szalonym świecie być szczęśliwym człowiekiem
– tym niech się zajmuje edukacja

Odkąd zamknięto szkoły, topowym hasłem stał się slogan „edukacja zdalna”. Brzmi tak nowocześnie, tak trendy, tak na czasie. Ktoś powie, że przecież to naturalna konsekwencja życia w dobie internetu.

To prawda. Życie staje się coraz bardziej cyfrowe, chcemy czy nie, a edukacja powinna być odpowiedzią na wyzwania współczesności i jednocześnie świata przyszłości.

Ale w ślad za zmianami rzeczywistości powinien się zmienić świat. A w szkole nic się nie zmieniło. Model pruski zakłada, że w szkołach wyprodukujemy podobnych albo nawet takich samych ludzi. Że wszystkich ocenimy według jednego wzorca, choć to tak, jakbyśmy różne zwierzęta oceniali tylko przez przyrząd umiejętności wspinania się na drzewo.

To mogło kiedyś działać, ale teraz już absolutnie nie. Rolą edukacji powinno być uświadomienie uczniom, jak określone zainteresowania i umiejętności mogą rozwijać. A przede wszystkim sprawienie, że będą umieli w tym całym szalonym świecie być szczęśliwymi ludźmi.

To jak taka szkoła powinna wyglądać? Temat rzeka, ale spróbuję.

Zacząć trzeba od najważniejszego, czyli od drugiego człowieka. I od pewnej tezy. Tezy brzmiącej: w szkole najważniejsi są nauczyciel i nauczycielka.

Dlaczego?

Gdyż to oni mogą uczynić ucznia ważnym.

Czy są ważni?

Niestety, wręcz przeciwnie.

Pomoc im, taką serio, na poziomie długofalowym, trzeba zacząć od zmian w ich kształceniu oraz weryfikacji ich predyspozycji do zawodu. A w trybie tu i teraz – zmienić sposób wynagradzania oraz zapewnić im dostęp do wsparcia psychologicznego.

Obecna szkoła nie daje pedagogom ani poczucia sensu, ani godziwego wynagrodzenia. Rzadko kiedy nauczyciel ma też przestrzeń, w której może wyrazić emocje i uczucia. A w przypadku pracy z tak wieloma młodymi osobami, nieustannego przejmowania ich emocji i magazynowania ich w sobie wraz z własnymi uczuciami dostęp do terapeuty czy superwizja są czymś arcykoniecznym.

Nauczyciele są pozostawieni sami sobie. W szkole przyszłości poczną, że są dobrze wynagradzani za pracę, która ma sens, a przede wszystkim nie będą trawieni przez nowotwór lęku i poczucia bezradności. To jeszcze bardziej ich zmobilizuje. Tym samym zawód wybierać będą najlepsi, dla których praca z drugim człowiekiem i towarzyszenie mu na drodze rozwoju są czymś absolutnie wyjątkowym.

Szkoła przyszłości to szkoła bez MEN, za to z KEN, czyli Komisją Edukacji Narodowej, którą tworzyliby eksperci i praktycy, pasjonaci edukacji i rozwoju, wolni od partyjnych konieczności wizjonerzy z branży oświatowej.

A jeżeli o MEN mowa, szkoła przyszłości to szkoła bez zbędnej biurokracji i formalizacji. Nie papier, statystyki, diagnozy i pliki w Excelu, ale żywy czło-

wiek, jego potrzeby, uczucia, pasje i zainteresowania są kluczowe. Cała reszta ma być tylko narzędziem wspierającym, a nie opresyjnym i dyscyplinującym. System edukacji ma być jak spolegliwy opiekun według Tadeusza Kotarbińskiego. Bo dobrze widzi się tylko sercem, a najważniejsze niewidoczne dla oczu, jak mawiał Mały Książę.

I to jest clou. Zostawiamy zbędną dokumentację, która nic nie wnosi do rozwoju młodego człowieka, poświęcamy ten czas na uważne bycie z nim, wspieranie go i inspirowanie.

Wyobrażam sobie idealną szkołę jako kombinację siedziby Lego, Centrum Nauki „Kopernik” i Domu Salomona, o którym pisał Francis Bacon w „Nowej Atlantydzie”. W Domu Salomona badano doświadczalnie różne aspekty rzeczywistości. Połączyłbym to badawcze zacięcie z tym, co młody człowiek może przeżywać w Koperniku, a wszystko to osadziłbym we wnętrzach siedziby Lego. Wymarzony hub kreatywny.

W tej bajecznej siedzibie wszyscy byliby świadomi, że szkoła jest czymś więcej niż tylko miejscem przekazywania wiedzy. Nauczanie ex cathedra i metody podawcze zastąpiłyby wspólne doświadczania i eksperymentowanie. Sięganie po nowe, nabywanie wiedzy w praktyce, a przede wszystkim kompetencji przydatnych w dalszym życiu. Jak mawiał Goethe: „Jakkolwiek możesz zrobić, o czymkolwiek możesz marzyć, po prostu zacznij to robić”. To jest podstawa jakiegokolwiek podstawy programowej.

Takie nauczanie nie jest możliwe bez jej odchudzenia i dużo większej elastyczności. Serio – mniej znaczy więcej. Szczególnie teraz, w edukacji zdalnej, w tym niepewnym i trudnym czasie – ale przecież nie zanoszą się, aby w przyszłości miało być jakoś szczególnie łatwiej.

Dlatego jeśli nie możemy zmienić tego, co nam wrzuci na tapet świat, zmieńmy tapet. Szkoła przyszłości to szkoła bez ciągłego oceniania. W tej dzisiejszej ocenianie to nie tylko stopnie w dzienniku, ale przede wszystkim recenzowanie nas samych. Zastąpmy je promowaniem wartości takich jak szacunek, akceptacja, empatia. One kształcą ludzi dobrych, mądrych, szczęśliwych i mających poczucie sprawstwa – a to my, edukatorzy i edukatorki, możemy się przyczynić do wzrostu motywacji pozytywnej, wskazania mocnych stron ucznia, zbudowania pewności siebie, wsparcia w trudnych chwilach.

I wtedy możemy zacząć się zajmować poznaniem.

W modelu pruskim nie uwzględnia się istoty poznania. Platońskiego i arystotelesowego zdumienia, kartezjańskiego podważania, jaspersowskiego doświadczania granicznych sytuacji życia. Nie uczy się tego, o czym mówił Pascal – jak być ludźmi. A to jest dla ludzi przecież najważniejsze. I to jest najważniejsze w szkole.

Nie da się tego realizować bez edukacji w zakresie wartości. A wartości najlepiej uczyć się we wspólnocie. Moją wymarzoną szkołę przyszłości opisałbym właśnie jako szkołę wspierających się wspólnot. Ta-



kich jak grupa dzieciaków z „Ani z Zielonego Wzgórza”, które wędrowały do Doliny Tęczu. Dzieci z Bulberbyn. Drużyna Pierścienia. Rodzeństwo Pevensie z „Opowieści z Narnii” czy w końcu członkowie Zakonu Feniksa, nie tylko w uniwersum o Harrym Potterze, ale także w tym wyjątkowym fakultecie filozoficznym stworzonym przez ludzi wcześniej i później urodzonych, który od lat prowadzę. Wszystkie te wspól-

Wyobrażam sobie idealną szkołę jako kombinację siedziby Lego, Centrum Nauki „Kopernik” i Domu Salomona, o którym pisał Francis Bacon w „Nowej Atlantydzie”

noty zapewniają sobie emocjonalne wsparcie, akceptację i bezpieczeństwo, choć często wcale nie jest o to łatwo.

Dlatego mówię z całą mocą: edukacja to relacja. Nie ma edukacji bez relacji. Można się załkochać w różnych metodach uczenia, ale dopiero gdy zacznie się budować z uczniem relację, można osiągnąć nieprawdopodobny efekt. Efekt WOW.

Jestem dla moich uczniów i uczennic jednym z nich. Tak jak oni miewam czasem gorszy dzień. Gdy tłumaczę różne zagadnienia, odwołuję się do własnego doświadczenia. Jeśli uczeń mi mówi, że stresuje się szkołą, tym łatwiej mi go zrozumieć, bo sam w młodości cierpiełem na nerwicę szkolną. Dlatego lekcji nie zaczynam od sprawdzania obecności czy kartkówki, ale od pytania: jak się dziś czu-



• Kadr ze słynnego filmu
„Stowarzyszenie Umarłych
Poetów”
FOT. EAST NEWS

jecie? W edukacji nie są ważne metody ani rzeczy, najważniejsze jest spotkanie człowieka z człowiekiem bez względu na wiek, pochodzenie, orientację seksualną.

Dobry nauczyciel potrafi zbudować relację z uczniem w każdych warunkach. W szkole przyszłości nauczyciele i nauczycielki potrafią widzieć świat oczami ucznia i identyfikować się z jego położeniem. Potrafią stworzyć mu warunki i przestrzeń do pogłębiania wiedzy i rozwoju, zaciekawiają, pytają uczniów i uczennice, co ich interesuje, jaki materiał chcieliby przerobić, jakie mają oczekiwania.

Podpisuję się pod słowami Mahatmy Gandhiego, który mawiał, że „w życiu nie chodzi o to, by przeczeć burzę, ale o to, by nauczyć się tańczyć w deszczu”. Trudno nam naprawdę docenić siebie, a więc jakże trudno docenić naszych uczniów i nasze uczennice! Wielu i wiele z nich to wytrawni tancerze i tancerki. Tańczą mimo deszczu, a często, nawet jeśli jeszcze tego nie wiedzą, właśnie dzięki niemu. Aby wielu i wiele z nich poznało więcej stylów tanecznych, w szkole przyszłości zdobędą trzy fundamentalne umiejętności, które powinien posiadać każdy młody człowiek. Umiejętności, które nazwałbym Insigniami Przyszłości.

Pierwszą jest uczenie się – umiejętność kluczowa w dobie gospodarki opartej na wiedzy i dynamicznie zmieniających się okoliczności. Dzięki niej każdy człowiek sprawnie przyswaja nową wiedzę i umiejętności, jakiekolwiek by one były – od krzesania ognia po pilotowanie statku kosmicznego. Szybciej i sprawniej odnajduje się w nowym środowisku. Traktuje świat i nowych ludzi w swoim otoczeniu z naturalną ciekawością i otwartością.

Druga to myślenie – umożliwia odnalezienie się w nowych warunkach bez naruszania swojej naturalnej konstrukcji psychicznej. Ważne jest tu myślenie krytyczne, dające narzędzia do badania rzetelności informacji oraz myślenie kreatywne – to wychodzące poza schemat i dostrzegające wielość rozwiązań.

A trzecia to komunikacja – ta intrapersonalna (rozumienie siebie samego, swoich emocji, mocniejszych i słabszych stron) i ta interpersonalna (funkcjonowanie w relacjach z innymi ludźmi).

Te kompetencje są potrzebne ludziom od zawsze. Niestety, rzadko się ich uczymy. W szkole przyszłości nie uczylibyśmy się przedmiotów, ale tego, jak się uczyć rzeczy, które będą nam potrzebne jutro. Często dowiadujemy się, co myśleli inni, ale nie uczymy się, jak do tego doszli, z czym się mierzyli i jak my sami możemy i powinniśmy myśleć. Wszędzie się komunikujemy, ale nie uczymy się, jak robić to dobrze.

W szkole przyszłości uczniowie rozwijają więc samoświadomość, niezależność, wewnętrzne poczucie kontroli, samoakceptację. Samowiedza jest absolutnie kluczowa, gdyż jest metakompetencją. Dzięki niej uczniowie, którzy np. dopiero odkrywają w sobie cechy przywódcze, mogą stwierdzić, czy lepiej czują się w roli lidera w mniej formalnej, niewielkiej grupie, czy może na odwrót – w licznej i formalnej.

Awiecie... W zasadzie coś na kształt takiej szkoły przyszłości możecie już obejrzeć.

Nasz Zakon Feniksa jest szkołą myślenia, bo uczymy się filozofii, która jest matką wszelkiego myślenia, uczymy się kreatywnie oraz nieustannie uczymy się, jak się uczyć. A podstawą funkcjonowania Za-

konu są wspaniałe relacje między ludźmi, którzy go tworzą i uczestniczą w zajęciach.

Badania psychologów wskazują, a nasze osobiste doświadczenia potwierdzają, że właśnie takie relacje – dobre, empatyczne, oparte na komunikacji – pełnią funkcję terapeutyczną. Dbamy więc o dobrą komunikację. W Zakonie już teraz razem uczą i spotykają się ludzie z różnych pokoleń, różnych szkół, o różnych zainteresowaniach. Mam więc podstawy, aby sądzić, że metoda, dzięki której działa Zakon Feniksa, będzie też działać w innych miejscach i pozwoli każdemu, kto z niej skorzysta, zmienić świat na lepsze.

Mam takie jedno marzenie. Jakbyśmy mogli sprawić, jak mawiał Philip Zimbardo, aby „każde dziecko mogło poczuć, że szkoła pomaga mu stać się lepszym człowiekiem. Bohaterem” – czy nie byłoby pięknie?

Jeżeli chcemy, żeby było pięknie, i mamy pomysły, jak to zrobić, to tylko podejmując działanie, dajemy sobie szansę. W ostatnim czasie grupy powszechnie uważane za słabe pokazują, że aktywność i determinacja dają szansę na naruszenie skostniałych struktur. To pozwala zwalczając poczucie niemocy również w środo-

Często dowiadujemy się, co myśleli inni, ale nie uczymy się, jak do tego doszli, z czym się mierzyli i jak my sami możemy myśleć

Święty Augustyn



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Jest obecność rzeczy przeszłych – i to nazywa się pamięć. Obecność rzeczy teraźniejszych – i to jest postrzeganie. I wreszcie – obecność rzeczy przyszłych, czyli nadzieja”

wisku szkolnym. To pozwala mieć nadzieję, że dzięki wspólnym działaniom oddolnym, wielu inicjatywom płynącym z chęci zmieniania tego świata szkoła przyszłości stanie się wkrótce szkołą naszej teraźniejszości. Na pewno znacznie opowieść o żabce tonącej w śmietanie, która walczyła tak długo, aż śmietana zamieniła się w masło. Nie wiedziała, czy przeżyje, ale nie wyobrażała sobie nie stanąć do walki. Bo gdyby poddała się od razu, na pewno by się jej nie udało. Jeśli będziesz wytrwale próbować, za kolejnym zakrętem możesz znaleźć swoją szansę. Nawet jeśli już nieraz mieliście nadzieję, że to w końcu ten zakręt, a jednak wcale to nie był ten zakręt... nigdy nie wiesz, czy ten najbliższy to właśnie nie jest ten zakręt.

Życzę więc nam wszystkim, aby pandemia wyprowadziła nas z jaskini Platona i uwolniła z kajdan nieświadomości. Życzę nam, abyśmy zaczęli realną troskę o nas wszystkich już tu i teraz. Nie o to, czy bezbłędnie zrobimy i zaliczymy karty pracy online, tylko o to, jacy z tego wyjdziemy. To jedyny egzamin, jaki trzeba w życiu zdać, zdając go nieustannie: egzamin z troski, solidarności i wsparcia. ●

Przemysław Staroń

• nauczyciel, popularyzator nowatorskich metod nauczania, publicysta. Nauczyciel Roku 2018, był na krótkiej liście nominowanych do Global Teacher Prize 2020. Na Wyborcza.pl prowadzi cykl lekcji online „Szkoła bohaterów i bohaterów”, wydał książkę pod tym samym tytułem. Prowadzi międzypokoleniowy fakultet filozoficzny Zakon Feniksa. Uczy filozofii, etyki, historii sztuki i kultury w II LO im. Bolesława Chrobrego w Sopocie

„Szkoła bohaterów i bohaterów, czyli jak sobie radzić z życiem”, Przemysław Staroń. Książka dostępna w księgarniach, na KulturalnySklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl



ZANIM NADEJDA

Ocalałe przyczółki Zachodu to państwa policyjne zarządzane przez biurokratów

Najgorsza jest noc, jak ludzie krzyczą i płaczą o pomoc, ale nikt nie przychodzi. Albo gdy już nie mają sił, żeby nacisnąć guzik. Za mało rąk do pracy, za dużo nas, na nowych nie ma miejsca – tak pobyt w szpitalu COVID-owym w Polsce opisywał jeden z pacjentów w październiku, gdy uderzyła druga fala. Kilka dni później zmarł. Wraz z nim oraz innymi zmarłymi na świecie zamiera też wiara w supremację człowieka. Znowu zaczynamy jawić się, niczym w Środę Popielcową, jako proch marny, podatny na chciejstwa losu.

To ważna lekcja. W erze podboju kosmosu i algorytmizacji okazujemy się istotą kruchą, zaprogramowaną na ledwie 40-50 lat życia. A wszystko, co jest ponad ten wiek, od cywilizacji pochodzi – to ona bowiem dała nam medyczne technologie zbawienia. Dzięki nim już niebawem zostaną wdrożone szczepionki. Gdy to nastąpi, Popielec się skończy, a na dobre zacznie się wielki post – postprywatność i postkapitalizm.

OSTATNI Z NAS

Póki jednak Popielec trwa – ciesz się. COVID-19 nie jest bowiem najgorszą rzeczą, jaka może się przydarzyć światu. Przy śmiertelności rządu 2-4 proc. to epidemia łagodna. A gdyby wynosiła 50 lub 100 proc.? Kawałek tego świata widać w grze „The Last of Us”, w której epidemia wywołana przez pasożytniczego grzyba maczużnika (Cordyceps) rozkłada na łopatki ludzkość. W kilka miesięcy zakażeniu ulega 60 proc. globu. Grzyb przenosi się przez bezpośrednią styczność (np. przy zranieniu), a część nosicieli zatrzuwa nim powietrze przed śmiercią. Infekcja w kilka dni powoduje grzybicę mózgu i oczu, co prowadzi do szybkiej utraty wyższych funkcji mózgu, a wraz z nimi człowieczeństwa: zarażeni wybuchają agresją. Z czasem grzyb zarasta im ciała, redukując do roli zombi. Ludzie masowo wymierają, a rzadkie okazy zarażonych, których ciała przeżyją dekadę, są już tylko ludzką wydmszką i stelażem dla złuszczonej, grzybiczej masy. Naukowcy nie potrafią wynaleźć szczepionki.

Świat zmienia się w postepidemiczne ruiny, gdzie w strefach kontrolowanych przez rząd obowiązują zasady państwa policyjnego. Tworzą się nowe frakcje polityczne, a poziom cywilizacyjnej złożoności trwale spada – nawet dostęp do prądu staje się luksusem. Zdrowi trzymają się razem, choć trudniej też o dostęp do jedzenia, bo śmiertelny grzyb pochodził ze zboża. Nie mówiąc już o gospodarce i badaniach naukowych, które zostały zredukowane prawie do zera.

Choć nie wiadomo, czy cywilizację po grzybie zagłady dałoby się w ogóle odbudować, to całkiem realny dokument Departamentu Obrony USA daje pewną nadzieję. CONPLAN 8888, bo o nim mowa, to militarny plan przyszłości na wypadek światowej zapaści spowodowanej przez zombifikację. Został napisany całkiem na poważnie dla adeptów planowania strategicznego. Po co? Żeby na fikcyjnym przypadku zbadać różne warianty, trendy i zmienne wpływające na przyszłość. W tym samym duchu możemy pokusić się dziś o COVID-PLAN2030 – czyli scenariusz przyszłości po-COVID-owej. Świat z „The Last of Us” (na razie) nam nie grozi, jedynie jego niegroźna namiastka. Jednak i ona poważnie napsuje nam krwi.

EDYTA GÓRNIAK W PUŁAPCE SIMULAKRUM

W „The Last of Us” ocalałe przyczółki Zachodu to państwa policyjne zarządzane przez biurokratów. Wolności takiej jak dawniej nie ma, bo w wa-

runkach zagrożenia nie da się jej po prostu kulturować. W naszym świecie będzie o niebo lepiej – jednak pewne trendy podmywające liberalizm gwałtownie przyspieszą. Na przykład tendencja do ograniczania wolności jednostki w zamian za obietnicę zwiększenia bezpieczeństwa wspólnoty. Ujawnia się w niej paradoks demokracji liberalnej, o którym pisał ostatnio Marcin Król w antologii „Europe on Test: The Onus of the Past” – z jednej strony system ma dbać o maksymalizację wolności jednostki (liberalizm), z drugiej o maksymalizację interesu wspólnoty (demokracja). A co, gdy te dwa wektory znajdą się w konflikcie? W przypadku zagrożenia wahadło ciężkości ustrojowej odchyli się od liberalizmu w stronę demokracji: w celu szybkiej i skutecznej reakcji na kryzys państwo nagle potrzebuje szerszych uprawnień i dostępu do informacji o obywatelach. Nagle od obywateli przyzwyczajonych do konsumpcji i indywidualizmu oczekuje się cnót samoograniczenia i dyscypliny.

Taka kryzysowa mobilizacja może świetnie działać w cywilizacji konfucjańskiej, np. na Tajwanie, który wytworzył demokrację przesiąkniętą wartościami kolektywistycznymi. Słabo jednak działa na Zachodzie. Gdy Tajwańczycy zaufali władzom i bez mrugnięcia poddali się restrykcjom oraz cyfrowemu śledzeniu, na Zachodzie dominuje nieufność wobec rządów – nie tylko postrzegamy je jako mało skuteczne, ale już nawet nie przecieramy oczu ze zdumienia, gdy na ulice Niemiec czy Wielkiej Brytanii wychodzą antyszczepionkowcy, którzy daliby się pokroić za to, że – jak paplała Edyta Górniak – wirusa nie ma, w szpitalach leżą statycy, a karetki jeżdżą puste. Polacy idealnie mieszczą się w trendzie – gdy azjatyckie aplikacje do śledzenia kontaktów w celu mapowania zarażenia (np. TraceTogether) się przyjmują, te europejskie (np. polski ProteGO Safe) rozbijają się o barierę kulturową.

TYLE WIEMY O SOBIE, ILE NAM ZDRADZONO

Dlaczego Tajwańczycy myślą inaczej? Powodów jest wiele, lecz jednym z nich jest to, że odrobili już lekcję postprywatności. Zaakceptowali, że technologiczna rewolucja zmienia nas na zawsze. Wchodzimy w erę postprywatności. Prywatność przedcyfrowa po prostu przestaje być egzekwowalna ze względu na rosnącą złożoność systemów technologicznych i nowe obiegi informacji. Wraz ze wzrostem tej złożoności prywatność „taką jak kiedyś” jest w dalszym ciągu możliwa, ale z roku na rok koszty jej kulturowania rosną wykładniczo. Oczywiście zawsze możesz się odłączyć od internetu, a zamiast smartfona wybrać starą nokię 3310. Jednak na rynku pracy – przeważnie najemniczej i coraz częściej zdalnej – dla większości młodego pokolenia oznacza to bezrobocie, głód i życiową porażkę.

Postprywatność możemy lepiej zrozumieć dzięki Wisławie Szymborskiej, która żyła jeszcze w starym świecie: „Tyle wiemy o sobie, ile nas



sprawdzono”. Człowiek nie wie na dobrą sprawę, jak zachowa się w jakiejś określonej sytuacji, bo dopiero sytuacja graniczna odkrywa naszą prawdziwą naturę. Te czasy już minęły. Dziś Szymborska napisałaby: „Tyle wiemy o sobie, ile nam zdradzono”. Nasza natura leży bowiem rozkawałkowana na serwerach firm big tech, jak Google, Facebook czy ich chińskie odpowiedniki. Z każdym dniem staje się coraz mniej tajemnicza, bo algorytmny przez psychologów nieustannie analizują, gdzie chodzimy, o czym myślimy, czym się interesujemy.

Dokument Netflixa „Dylemat społeczny” jasno i przystępnie pokazuje, jak nieustannie płacisz swoimi danymi za usługi cyfrowe, z których korzystasz. A twój umysł jest dzień w dzień grillowany na kozetce algorytmu-psychologa. Przy tym

Nagle od obywateli przyzwyczajonych do konsumpcji i indywidualizmu **oczekuje się cnót samoograniczenia i dyscypliny**

ZOMBIE

FOT. EBRAHIM NOROOZI/ AP



jednak masz jedynie skąpy wgląd w to, co wiedzą o tobie algorytmy. Co wiemy, to, że big tech kochają socjotechnikę sugerowania, jak lub co masz pomyśleć. Tzw. nudging polega na odpowiednim zaaranżowaniu środowiska wyboru – tak, abyś się zasugerował i zadziałał w określony sposób. Banalny przykład: jeśli zadasz jakieś pytanie, to którą odpowiedź prędzej wybierzesz i przyswoisz: odpowiedź A na pierwszej stronie wyników wyszukiwania czy odpowiedź B na dziesiątej? Pomnóż ten trend razy 4 miliardy ludzi przed ekranami i otrzymujesz programowanie mózgow, którego firmom big tech mogą pozazdrościć organizacje wywiadowcze na całym świecie.

SZAREGO NOSOROŻCA SŁABO WIDAĆ

Etycznego problemu z rewolucją cyfrową nie mają Chiny. W wyniku sprzężenia komunizmu i kapitalizmu powstał ustrój, który nazywam kapitalizmem roju. W tym systemie ostatecznie wszystko jest kontrolowane przez państwo, a ludzie to nie tyle podmiot prawa, ile mrówki. Góra kontroluje informację, a kto się na to nie zgadza, znika lub prze-

chodzi przymusową reedukację. Wszystko jest pięknie zautomatyzowane, System Zaufania Społecznego – i cóż, że niedoskonały, to tylko kwestia czasu – kontrolowany przez sztuczną inteligencję i miliony kamer automatycznie przyznaje obywatelom punkty dodatnie za działania po linii partii, ujemne za nieprawomyślność.

Z kolei na Zachodzie tworzy się kapitalizm inwigilacji – ustrój, który zdecydowanie zaczął śledzić cyfrowo obywateli, lecz jeszcze nie przesunął wajchy w stronę kontroli totalnej. Firmy takie jak Google argumentują jednak za tym, aby mogły wiedzieć jeszcze więcej. Zbyt dużo regulacji, mówią, oznacza utrudniony rozwój smart cities – miast przyszłości, w których sztuczna inteligencja zautomatyzuje najważniejsze procesy. Co więcej, zbyt wiele regulacji zahamuje postęp i Zachód niechybnie przegra wyścig z Chinami.

Boimy się przegranej, lecz równocześnie boimy się inwigilacji. Ale jeszcze bardziej boimy się kolejnych kryzysów. Czy z tego bagna da się wyjść?

Odpowiedzią będziemy żyć jeszcze kilka dekad po epidemii. Koronawirus pokazał bowiem, że Zachód nie ma procedur do radzenia sobie z nagłymi kryzysami międzynarodowymi. A tych w XXI wieku bę-

dzie więcej – mowa nie tylko o epidemiach ale też globalnym ociepleniu, klęskach żywiołowych oraz wewnętrznych zapaściach państw ze względu na polaryzację ideologiczną i tarcia migracyjne oraz etniczno-religijne. Epidemia nie była wcale czarnym labędziem, czyli wydarzeniem niespodziewanym, na które nie da się być gotowym. Była raczej czymś spodziewanym i prognozowanym, lecz zbagatelizowanym, a więc typem wydarzenia, które badaczka ryzyka Michele Wucker określa jako „szary nosorożec”.

Tymczasem Zachód nie jest gotowy nawet na „szarego nosorożca”. Oczywiście wie, że dla lepszego przygotowania potrzeba jakichś regulacji, nie potrafi jednak zdecydować, czy naszym celem powinno być zawrócenie z drogi postprywatności, czy raczej adaptacja do nowych warunków. Zachodni myśliciele widzą, że liberalny okręt tonie, a stare kategorie myślowe stają się nieprzydatne, jednak zbyt często jako receptę proponują wylewanie wody z okrętu wiadrami. Tymczasem potrzebna jest łódź podwodna. Trochę po omacku, lecz w tym kierunku idzie Firmin DeBrabander w książce „Life after Privacy”. Główny wniosek można streścić tak: musimy zmienić swoje ideały, by zaimpregnować ludzi na złąbny wpływ postprywatności. Uregulowanie big technu

i ochrona prywatności przez jednostki będzie przynosić tylko ograniczone skutki, dlatego należy otworzyć zupełnie nowe fronty walki o demokrację – co pozwoli na powrót do sfery publicznej i polityczności. Dzięki temu, twierdzi DeBrabander, porzucimy liberalną iluzję każącą wierzyć, że sfera publiczna powinna być jednorodna i wyzbyta kontrowersji, a kto twierdzi inaczej, tego trzeba zamknąć w jego „sferze prywatnej”. Wręcz odwrotnie, aby przywrócić stabilność, trzeba reaktywować zanonimizowaną sferę publiczną.

Podobną strategię ukonkretnia Michał Zabdyr-Jamrós w pracy „Wszechstronność”: w walce ze stronniczością nie musimy uciekać się do racjonalistycznej i bezdusznej bezstronności. Powinniśmy raczej budować przestrzeń publiczną, która będzie wszechstronna, czyli pozwoli na szczere uwzględnianie także emocji i interesów grupowych, jakiegokolwiek by były. Dopiero wtedy będzie możliwe wypracowanie konsensusu.

OD KASZLU DO KATHARSIS

Pierwszym krokiem ku przemianom musi być uświadomienie, że jest



☉ w ogóle potrzebna. Starożytni Grecy używali słowa „katharsis” – oznaczającego odreagowanie napięcia i psychiczne i głębokie oczyszczenie mentalne. W stabilnym systemie gospodarczym nakręconym na maksymalizację produktywności o takie przeżycie trudno. Gdy kółko chomika się kręci, nie ma czasu na głębsze myśli. Tymczasem chaos epidemii wywraca warunki gry i prowadzi całe społeczeństwa do sytuacji granicznych – do cierpienia, poczucia winy oraz strachu przed śmiercią. Psychiatra Karl Jaspers twierdził, że takie właśnie sytuacje graniczne (Grenzsituationen) wymuszają przebudowę wartości. To dzieje się teraz. Ciemne i samotne śmierci covidowe, zapaść rynku pracy, bankructwa firm, samobójstwa, lęk separacyjny, depresje i nieustanny strach o jutro przeprogramują naszą cywilizację psychicznie. Konsekwencje mentalne po COVID-19 będziemy odczuwać dłużej niż ekonomiczne. Wiele bowiem trendów dopiero się zaczęło i spowodują kolejne, niczym otwarcie kuli bilardowej, która rozbija stabilny układ. Przy tym kolejne kryzysy, w tym klimatyczny, będą działać jako wzmacniacze trendów. Dlatego choć COVID raczej nie powoduje kataru, to na pewno spowoduje katharsis. Jeśli odpowiednio je przepracujemy, możemy liczyć na wzrost potraumatyczny – który będzie jedynym chyba pozytywnym skutkiem epidemii.

Aby się powiódł, musisz już teraz uzmysłowić sobie trzy rzeczy, z którymi łatwiej będzie żyć w XXI wieku:

(1) Jesteś wyjątkowy, ale tylko trochę. Tak samo jak ja i wszyscy inni, ale nie bardziej. Algorytmy big tech pokazują, że nawet jeśli nie chcesz, jesteś też częścią opisywalnej i policzalnej ludzkiej trzody; porównywalnym i częściowo podobnym zlepkiem doświadczeń oraz zdarzeń losowych. Dlatego choć twój indywidualizm jest ważny, to może czas ochłonąć i dać mu odtańczyć. Inaczej wspólnota demokratyczna ulegnie rozpadowi i zostanie zredukowana do milionów baniek informacyjnych – każdy obywatel będzie mieć swoją własną.

(2) Cywilizacja nie potrzebuje swoich dramatów. Są one bardzo malownicze, ale potrzebuje przede wszystkim realizacji określonych zadań organizacyjnych, by rozwijać dalej własną złożoność i liczbę problemów, które może rozwiązać. Jeśli patrzemy z oddalenia na Ziemię, jak zaleca Marek Aureliusz, to okaże się, że systemu wcale nie interesują sprzeczności targające pojedynczymi ludźmi, takie rodem z Dostojewskiego. Sztuczna inteligencja i algorytmy unikają sprzeczności lepiej niż ludzie, dlatego w wielu przypadkach tych ludzi zastąpią, a pewne gałęzie gospodarki i profesje, które dotąd uznawano za ludzkie, albo zostaną przejęte przez byty cyfrowe, albo znikną.

(3) Jesteś zaprogramowany tylko na 40-50 lat życia. W wersji brutalnej: umrzesz! Jak nie dziś, to pojutrze. Jesteś podatny na żer innych organizmów. Z punktu widzenia statystyki życie ponad lat 50 zawdzięczasz tylko szczęściu, medycynie i technologii. Nawet jeśli swoje pożyczysz, ostatecznie twoja tożsamość jednostkowa rozplynie się w nicości, a tylko tożsamość zbiorowa takie jak społeczeństwo i cywilizacja będą trwać dalej. Dlatego równie ważna jak twoja osobista historia jest historia zbiorowa. Jak ją ubogacisz? Być może ważniejsze od twoich kolejnych, nikomu niepotrzebnych zdjęć z Afryki czy nadmiernie wysokich zarobków jest to, jak zaprogramowane potomstwo i jak przerobione artefakty cywilizacji zostawisz po sobie. Aby lepiej przetrwać tę myśl, poświęć po lekturze tego tekstu sześć minut życia i zobacz na YouTube „Katedrę” Tomasza Bagińskiego: nominowaną do Oscara animację o roli pojedynczego „ja” w życiu kolektywnym.

Po finale „Katedry” nasze liberalne „ja” może odczuć niepokój. Film zadaje pytanie to samo, co epidemia: czy ostatecznie liczy się pojedynczy człowiek, czy zbiorowość? Na ile jedno można poświęcić dla drugiego? Totalitarny konfucjanizm Chin przesuw

wa niebezpiecznie suwak w stronę wyłączenia interesu zbiorowości, liberalny Zachód na drugi biegun – interesu jednostki. Oba systemy wiele tracą – pierwszy tłumi pewne ważne wymiary ludzkiej kreatywności, drugi grozi rozpadem cywilizacji jako bytu kulturowego. Ale by zrekonstruować gospodarkę i system międzynarodowy po koronawirusie, należy przesunąć Zachód między biegunami „indywidualizm – kolektywizm” trochę w stronę tego drugiego.

Oczywiście nie chodzi o naśladowanie Chin. Zresztą to nam wcale nie grozi – samo obserwowanie dystopii zarządzanej przez algorytmy będzie dla Zachodu szpiegunką przed totalitaryzmem. To było i będzie dla nas zbyt obce. Jednak realnym zagrożeniem pozostanie demokratyczny, miękki autorytaryzm. Aby z nim walczyć, liberalizm rozumiany jako wiara w wyjątkowość jednostki musi ulec przeobrażeniu.

Jeśli chcemy tworzyć kolonie na Księżycu i dusić kolejne epidemie w zarodku, musimy indywidualizm trochę ubiorować. Wtedy osiągniemy na Zachodzie stabilny stan mentalny, który w kwartalniku „Nowy Napis” określam jako „cyfrowa lekkość bytu”, czyli stan zmniejszonego napięcia egzystencjalnego, płynący ze świadomości podobieństwa i grupowej przewidywalności wszystkich ludzi w erze algorytmów potrafiących nas wszystkich skategoryzować. Taki stan mentalny może pomóc wyzwolić w nas pokłady nowej solidarności i społecznej empatii.

Skoro państwo mogło aktywnie zaopiekować się obywatelami w pandemii i nie doszło do jego załamania, być może powinno zaoferować jeszcze więcej

Po koronawirusie okrzepniemy też ze świadomością codziennego ryzyka cywilizacyjnego. W średniowieczu przypominała nam o tym wszystkim semiotyka chrześcijańska, dziś potrzebujemy nowego spoiwa dla jej ideałów. Dobrą inspiracją są – doraźnie – kultura i instytucje zwesternizowanych demokracji konfucjańskich typu Tajwan czy Korea Południowa, gdzie harmonia i stabilność są ważnym elementem tożsamości grupowej. Przy czym, powtórzmy, nie chodzi o zupełne porzucenie indywidualizmu.

BIEDNI BIEDNIEJĄ, BOGACI TNĄ WŁASNE DŁUGI

Kapitalizm w wersji po-COVID-owej będzie postkapitalizmem. Z dwóch względów. Po pierwsze, będzie zmieniał częściowo swoją logikę i dryfował w stronę socjaldemokratyczną (złośliwi powiedzą: komunistyczną). Ten trend był już widoczny przed pandemią: ubożenia klasy średniej, które doprowadziło do zjawisk takich jak „żółte kamizelki” we Francji, brexit oraz zwiększenie wpływów tzw. populistów w Europie i Stanach Zjednoczonych. Trend ów był też widoczny w postaci rozwoju społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR) – a więc przekonania, że firmy muszą troszczyć się o lokalne populacje i w jakiś sposób wspierać lokalną infrastrukturę. To ulegnie przyspieszeniu, a postulaty etycznego kapitalizmu opiekujące-

go się obywatelami mocniej zakorzenią się w programach partii Zachodu. Skoro bowiem państwo mogło aktywnie zaopiekować się obywatelami w pandemii i nie doszło do jego załamania, być może powinno zaoferować jeszcze więcej.

Choć nie wiadomo, ile z takich postulatów da się zrealizować, to wiadomo, że kto będzie je głosił, po prostu zgarnie władzę. Dlatego będzie postępował proces stopniowej feudalizacji kapitalizmu – coraz mniej przywiązany do starych koncepcji wolności lud będzie oferował poddanie się gospodarczej opiece rządów oraz podmiotów big tech, tak jak w średniowieczu człowiek poddawał się zwierzchnictwu feudała organizującego mu znośne i przewidywalne życie w zamian za posłuszeństwo. Niektórzy krytycy kapitalizmu, tacy jak Janis Warufakis, idą jednak z wizjami o wiele dalej: presja na przemianę systemu będzie tak wielka, że w obliczu kolejnych kryzysów zupełnie przeddefiniujemy podejście do własności prywatnej. W książce political fiction „Another Now” Warufakis snuje utopijną wizję socjalizmu rynkowego, który będzie maksymalizował głównie dobrobyt klasy średniej i pracującej.

Po drugie, „postkapitalizm” będzie „post”, ponieważ w najbliższej dekadzie przyberze wersję postną, czyli mniej dynamiczną i mniej uniwersalną. Sieci zależności kapitałowych będą układać się trochę mniej globalnie, a bardziej regionalnie ze względu na dalsze spięcie między USA

Emil Cioran, „O niedogodności narodzin”

przeł. Ireneusz Kania



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Moja wizja przyszłości jest tak precyzyjna, że gdybym miał dzieci, udusiłbym je natychmiast”

splacać długu. W podobnym impasie znajdzie się wiele innych biednych krajów, które będą musiały zapłacić albo zapaścią, albo uległością wobec Chin lub Zachodu.

Pandemia jeszcze się nie skończyła. Choć mamy dwie szczepionki, to koniec Popielca dopiero przed nami. W ramach pokuty czas rozliczyć kolejne fale choroby: pierwsza, z marca, podkopła zaufanie do organizacji międzynarodowych ze względu na skandale ze Światową Organizacją Zdrowia w tle, takie jak niejasne związki z Chinami oraz nieefektywność komunikacji na temat wirusa, maseczek i najlepszych środków zaradczych. Druga, z jesieni, podkopuje jeszcze bardziej zaufanie do rządów państw narodowych, które jawią się jako nieudolne lub ukrywające prawdę. Jeśli nie wdrożymy szczepionki wystarczająco szybko, trzecia fala może podkopać zaufanie do światowego systemu finansowego w ogóle.

O tym, jak to się może skończyć, przekonała się Islandia. Nie chcąc splacać długów banków podczas kryzysu finansowego w 2008 roku, Islandczycy postawili nieudolnych polityków i bankierów przed sądem. W powietrzu latały torby z farbą, a obywatele długi umorzili sobie sami. Dziś wydają się gotowi na wiele scenariuszy. Z wyłączeniem ataku zombi. ●

Grzegorz Lewicki

• Doktor filozofii, absolwent m.in. London School of Economics i Maastricht University. Prowadzi na Facebooku stronę „Global Future Studies”. Członek Klubu Jagiellońskiego. Autor książek „Nadchodzi nowy proletariatus!” i „Indeks mocy państw” oraz pracy „Nowy multikulturalizm jagielloński jako odpowiedź na migracyjne problemy Europy”, pomysłodawca i redaktor książki „Miasta w nowym średniowieczu”, która powstała w ramach Projektu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016.

Jutro jest teraz

Najciekawsze teksty
programu

J U T R O N A U C I · 2020
ŚWIAT PO PANDEMII

EDYCJA SPECJALNA

Szkoły otwierają się i zamykają, ale nie wiadomo, na jak długo. Wróciliśmy do biur, ale nie wiemy, czy za chwilę znów nie będziemy pracować z domów. Czy wizyta u lekarza jest bezpieczna? Czy w ogóle będziemy mieć pracę w przyszłym roku? Zamiast pojechać na wakacje, wielu z nas dorobiło „na czarna godzinę”.

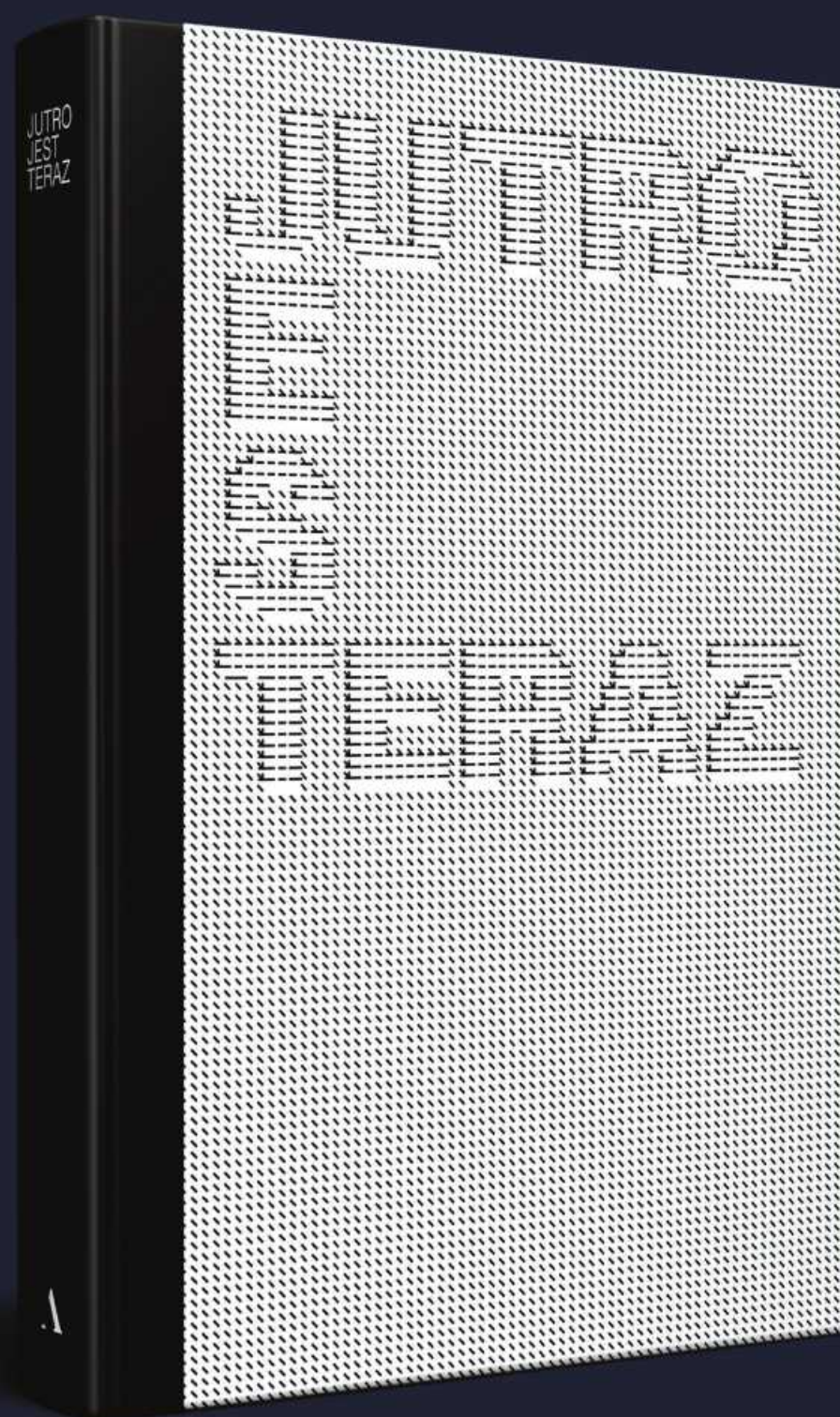
Żyjemy w stanie ciągłej niepewności i nie zanosimy się na to, żeby szybko się to zmieniło. Trwamy z ciągłym zagrożeniem – znanym z książek science fiction i filmów katastroficznych – w tle. Jutro nadeszło w marcu 2020 r. i urządzamy się w nim niczym po przeprowadzce.

Książka „Jutro jest teraz”, zbiór rozmów i tekstów wyjątkowych osób z pozornie odległych od siebie światów, próbuje opisać ten proces. Opowiada o szoku, jaki przeżyliśmy i o tym, jak próbujemy oswoić i poukładać świat na nowo. O tym, jak robią to biznes i mafia. Dlaczego jednym z nas czas przyspieszył, a innym zwolnił.

To zapis sytuacji i naszej świadomości na początku i w trakcie pandemii, ale też zestaw scenariuszy przyszłości.

Vadim Makarenko, Jerzy Wójcik

**Książka
i ebook już
w sprzedaży**



E-BOOK JUŻ NA publio.pl KSIĄŻKA DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH ORAZ NA [K KULTURALNY SKLEP.PL](https://www.kulturalny.pl)

